

Drugie lądowanie

F.L. Wallace



F. L. Wallace

Drugie lądowanie

Opowieść wigilijna

W połowie ubiegłego stulecia nikt nie wyobrażał sobie, że trzecia wojna światowa tak będzie się różniła od poprzednich, chociaż byli tacy, co prorokowali, że wiek dwudziesty pierwszy będzie stuleciem wojen religijnych. Niestety rozwój intelektualny ludzkości nie nadąza za rozwojem technicznym. Wspaniale nam wychodzi zwłaszcza wymyślanie coraz to nowych środków walki. Może rzeczywiście jedyna nadzieja w „drugim przyjsciu”. O nadziei jednak mówią...

Ta opowieść wigilijna powstała w samym środku zimnej wojny i została opublikowana w magazynie „Amazing Science Fiction Stories” w styczniu 1960r.

Drugie lądowanie

(Second Landing)

Ziemia była zbyt daleko, żeby być widoczna. Nawet Słońce było jedynie iskierką. Ta ogromna odległość wcale jednak nie oznaczała, że izolacja potrwa wiecznie. Instrumenty pokładowe przechwyciły transmisje radiowe, a godzinę później

również telewizyjne. Maszyny skompilowały słowniki i gramatykę, po czym zaczęły tłumaczyć z głównych języków. W miarę jak pojawiały się fakty, wyłaniał się zarys historii planety.

Kurs statku zmienił się nieznacznie; żeby przejść trochę bliżej Ziemi nie trzeba było zbyt nadkładać drogi. Dwóch kosmitów obecnych na pokładzie całymi dniami obserwowało i wsłuchiwało się, nie robiąc przy tym specjalnych komentarzy. Nadchodził jednak czas decyzji.

— Zróbmy to albo dajmy sobie spokój — powiedział pierwszy kosmita.

— Dobrze wiesz, co bym wolał — powiedział drugi.

— Domyślam się — odpowiedział Ethaniel, ten pierwszy. — To miejsce, to straszliwy bajzel. Oni niczym innym nigdy się nie zajmowali, poza walką i wymyślaniem coraz nowszych rodzajów broni.

— Nie chodzi o to, co robili — odpowiedział Bal, drugi kosmita — ale o to, co zrobią, mając tę bombę.

— Tym bardziej trzeba ich powstrzymać — stwierdził Ethaniel. — Ta bomba może zabić ich wszystkich. Bez naszej pomocy właśnie to mogą zrobić.

— Ale chyba nie muszę ci przypominać, że za dwa miesiące i dwadzieścia dziewięć dni mamy być w Willafours. Bez sprawdzania na mapie mogę ci powiedzieć, że stąd mamy wciąż jeszcze ponad sto lat świetlnych.

— Tydzień — powiedział Ethaniel. — Jeśli poświęcimy tydzień, to wciąż jeszcze zdążymy.

— Tydzień? Na załatwienie ich problemów? W czasie jednego pokolenia mieli dwie światowe wojny; nie jesteś w stanie zaradzić wszystkim tym problemom, które mogą wywołać trzecią, tę ostatnią.

— Obecny stan nie może potrwać długo — powiedział Ethaniel. — Wystarczy jakiś błąd w dyplomacji lub zbyt krewki żołnierz. Tu nie ma się nad czym zastanawiać. Spadnie deszcz meteorytów, a ich prymitywne instrumenty wezmą to za atak nieprzyjaciela.

— Tym gorzej dla nich — stwierdził Bal. — Powinniśmy zapomnieć o tym, że kiedykolwiek istniała taka planeta jak Ziemia.

— Zapomnieć? Jak można zapomnieć o tylu ludziach?

— Ja mam taki zamiar — oświadczył Bal. — Daj im trochę czasu i nie będzie nikogo, kto by mi przypominał, że mam sumienie.

— Moje sumienie nie jest aż tak elastyczne. Możesz im się trochę przyjrzeć?

Bal nachylił się i wpatrzył uważnie w ekran.

— Są bardzo podobni do nas — stwierdził w końcu. — Trochę niżsi, ale czegoś im brakuje... To dziwne, gdyby nie to, wydawaliby się dokładnie tacy sami jak my. To chciałeś usłyszeć ode mnie?

— Właśnie to. Martwi mnie trochę, że nie są dokładnie tacy sami. Wydają się tacy bezbronni... Chociaż to pewnie tylko takie wrażenie.

— Przykro mi, ale nic dla nich nie możemy zrobić.

— Dlaczego? Mamy tydzień.

— Przez tydzień nie uda nam się odwrócić całej ich historii. Nie uda się ich zabezpieczyć przed tą bombą.

— Tego nie wiadomo — sprzeciwił się Ethaniel. — Powinniśmy zbadać sytuację.

— No i co wtedy? Mamy jakiś autorytet?

— Niewielki — przyznał Ethaniel. — Dwóch urzędników niższego szczebla w drodze do Willafours... Hm, natknęliśmy się na problem, którego nikt się nie spodziewał.

— W Willafours będziemy bardzo zajęci. Zanim ktokolwiek znów się tutaj pojawi, upłynie dużo czasu.

— Bardzo dużo. Nasi nie mają żadnych interesów w tym rejonie przestrzeni — zastanawiał się Ethaniel. — Jak długo Ziemia może przetrwać? Dziesięć lat? Dziesięć miesięcy? Napiecie rośnie z godziny na godzinę.

— A co ja ci mogę na to powiedzieć? Moglibyśmy się zatrzymać i trochę rozejrzeć. Nie będzie to zbyt wielkie poświęcenie z naszej strony.

Zbliżyli się bardziej do Ziemi, nie zobowiązując się przy tym zanadto do niczego. Unikając wykrycia przez radary, co nie było dla nich niczym trudnym, okrążyli w ciągu dnia planetę, zbierając dane i pobierając próbki.

— I jakie masz wnioski? — zapytał w końcu Ethaniel, odrywając się od monitora.

— A jakie tu można mieć wnioski? Jest gorzej niż sobie wyobrażałem.

— Tak? A dlaczego?

— No cóż, wiedzieliśmy, że mają tę bombę. Badania atmosfery to potwierdzają.

— Wiem.

— Wiemy również, że mogą ją przenosić, prawdopodobnie z pomocą jakichś latających pojazdów.

— To prawie pewne. Bez samolotów nie mieliby z niej żadnego pożytku.

— Co gorsze, wykryłem, że mają również pociski sterowane o zasięgu powyżej tysiąca mil. Mają też, lub niedługo będą mieli, prymitywne środki podróży kosmicznych.

— To źle — powiedział Ethaniel. — Siedzą teraz tylko i zastanawiają się, kiedy nastąpi uderzenie. Mogą nie wytrzymać nerwowo.

— Mogą, tym gorzej, że mają pociski sterowane — powiedział Bal. — A ty czego się dowiedziałeś?

— Nic szczególnego. Gdy ty zbierałeś dane na temat broni, ja obserwowałem ludzi.

— I co o tym sądzisz?

— Żebym to ja wiedział, co sądzić. Nie miałem za dużo czasu — powiedział Ethaniel. — I nie chodzi o problemy językowe. Nasze maszyny dają sobie radę z tłumaczeniem, a ja też wszczepiłem sobie dwa... trzy z nich. Niemniej obejrzenie kilku sztuk, wysłuchanie reklam, muzyki i serwisów informacyjnych nie wystarcza. Powinienem udać się na dół i pożyć trochę wśród nich, poczytać, porozmawiać z naukowcami, popracować z nimi, pobawić się.

— Pewnie, wtedy poznałbyś ich naprawdę. Tylko że na to potrzeba czasu... a my go nie mamy.

— No właśnie.

— To jak, zdecyduj się, tak czy nie.

— Nie. Nie możemy im pomóc — przyznał Ethaniel. — Nic nie możemy dla nich zrobić... Ale musimy spróbować.

— Jasne, wiedziałem to od samego początku. Już nie raz tak bywało, tracimy czas, by się dowiedzieć czegoś o ludziach, a gdy nie możemy im pomóc, czujemy się źle. Tak będzie też i teraz. — Podniósł się i przeciągnął. — No dobrze, daj mi godzinę na zastanowienie co i jak możemy zrobić.

Minęło jednak więcej czasu niż godzina, zanim spotkali się ponownie. W międzyczasie statek zbliżył się jeszcze bardziej do Ziemi. Już nie potrzebowali instrumentów, żeby ją oglądać. Planeta obracała się powoli za iluminatorem. Pocięte rzekami południowe równiny zieleniły się; oceany były błękitne; a większa część północnej półkuli błyszczała bielą. Biegun zasłaniały poszarpane chmury, a na północy, na średnich szerokościach rozpościerał się brudnawy całun.

— Nie wyobrażałem sobie czegoś tak błyszczącego — powiedział Ethaniel.

— Ja też nie — przyznał Bal. — Chcemy tam schłodzić sytuację. Będzie nam przy tym zimno.

— Tak, teraz mają zimę.

— Przyszło mi coś do głowy — powiedział Bal. — Jak ci się podoba pomysł, żeby pojawić się tam jako istoty nadprzyrodzone?

— Nie bardzo — odpowiedział Ethaniel. — Sto lat temu mogłoby zadziałać. Ale dzisiaj... mają już satelity. Nie są tacy prymitywni.

— Pewnie masz rację — zgodził się Bal. — Pomyślałem, że moglibyśmy wykorzystać różnicę w naszym wyglądzie.

— Gdyby można było, to bym to poparł. Ci ludzie są mało wrażliwi i zdesperowani. Nie da się ich ogłupić czymś tak prostym.

— No cóż, to ty tak uważasz — powiedział Bal.

— W porządku — powiedział Ethaniel — ty masz takie zdanie, a ja mam inne. Powiemy im po prostu, co powinni zrobić, jeśli chcą przeżyć; jak utrzymać planetę w jednym kawałku, tak żeby nadawała się do życia.

— Z pewnością im się to spodoba. Nie ma jak dobre rady.

— Nic na to nie poradzę. Na więcej nie mamy czasu.

— Masz jakieś specjalne instrukcje?

— Żadnych. Statek zostaje tutaj, a my lecimy na dół osobnymi promami. Łączność przez komunikatory, ale nie rób tego bez wyraźnej potrzeby.

— Przecież oni i tak nie mogą przechwycić naszych sygnałów.

— Nie mogą, a nawet gdyby mogli, nie poradziliby sobie z naszym językiem. Ale chcę, żeby myśleli, że my nie potrzebujemy już nic omawiać.

— Rozumiem. Chcesz, żebyśmy wyglądali na lepszych, niż jesteśmy. Żeby myśleli, że dokładnie wiemy, co robić, nawet jak nie wiemy.

— Jak będziemy mieli szczęście, to tak sobie pomyślą.

Bal spojrział przez iluminator na planetę.

— Tam gdzie się wybieram, będzie zimno. Tam, gdzie ty będziesz, tak samo. Jesteś pewien, że nie powinniśmy zmienić planów i wylądować na półkuli południowej, w środku lata?

— Obawiam się, że nie. Wielkie mocarstwa leżą na północy. To do nich musimy się udać, żeby coś osiągnąć.

— Taaa! Pomyślałem jednak o tych świętach, o których wspominałeś. Będziemy tam akurat w tym czasie. To nam nie pomoże.

— Wiem, oni nie lubią, jak im coś zakłóca święta. To nam rzeczywiście nie pomoże. Ale nie możemy czekać, aż się skończy.

— Zdaję sobie z tego sprawę — powiedział Bal. — Daj mi jakieś dane na ten temat, coś, co powinienem wiedzieć. Czy to nie są święta religijne?

— Dawniej były religijne — powiedział Ethaniel. — Tyle udało mi się zrozumieć na podstawie radia i telewizji. Ale teraz wydają się być głównie okazją do jedzenia, zabawy i sprzedaży towarów.

— Rozumiem. Zrobiło się z tego święto handlowe.

— To chyba dobre określenie. Nie zainteresowałem się tym na tyle, na ile powinienem. Miałem mnóstwo pracy z obserwacją ludzi, co nie było łatwe.

— Rozumiem. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy w jakiś sposób podłączyć się do tych świąt, żeby działały na naszą korzyść.

— Być może. Nie zastanawiałem się nad tym.

— A powinieneś. To ty się miałeś zająć tymi sprawami. — Bal spojrział w dół, na planetę. W strefie zmierzchu zaczynały formować się chmury. — Bardzo mi się nie chce lecieć na dół, zostawiwszy tutaj pusty statek.

— Oni tu nie dotrą. Bez względu na to, jak szybko się będą rozwijać, to w ciągu następnych stu lat nie będą w stanie w żaden sposób mu zagrozić.

— Myślałem raczej o sobie, samotnym tam na dole.

— Będę tam z tobą. Po drugiej stronie Ziemi.

— To niezbyt blisko. Czułbym się lepiej, gdyby na statku ktoś był i mógł pośpieszyć z pomocą, gdyby sprawy potoczyły się źle. Oni sami siebie nie lubią zbyt nawzajem, trudno więc sobie wyobrazić, żeby polubili obcych.

— No tak, mogą być nieprzyjaźni — przyznał Ethaniel. Skierował monitor na stok wzgórza. Padał śnieg, a w tym śniegu jacyś mężczyźni wycinali małe zielone drzewka. — Wymyśliłem pewien trik.

— Jeśli to pomoże ocalić moją szyję, to jestem za.

— Gwarancji nie ma — powiedział Ethaniel. — Wymyśliłem coś takiego: Zamiast chować statek w blasku słońca, żeby go nie zauważyli, zrobmy tak, aby był dobrze widoczny. Niech przelatuje na nocnym niebie i niech będzie dobrze oświetlony.

— No dobrze, i co?

— Nie przyjdzie im do głowy, że iluminujemy tak pusty statek — kontynuował Ethaniel. — A nawet jak coś takiego przyjdzie komuś do głowy, to nie będzie miał żadnych możliwości sprawdzenia. No, i co za tym idzie, mając nasz statek świecący nad głową, nikt nie będzie się palił, by nas skrzywdzić.

— Dobry pomysł — powiedział Bal, odwracając się do pulpitu kontrolnego. — Przesunę statek tak, żeby mogli go dobrze widzieć i włączę oświetlenie. Naprawdę dobrze go oświetlę.

— Nie marnuj energii.

— Bez obaw. Zobaczą go. Wszyscy na Ziemi go zobaczą. — Później, gdy statek był już na pozycji, jaśniejący na tle czarnej przestrzeni, pulsujący światłami, Bal powiedział: — Wiesz, czuję się teraz znacznie lepiej. Może nam się to uda. Może ta iluminacja okaże się tą pomocą, jakiej akurat potrzebujemy.

— To nie my potrzebujemy pomocy, ale ludzie z Ziemi — powiedział Ethaniel. — Do zobaczenia za pięć dni. — Po tych słowach wsiadł do lądownika i pozostawiając za sobą świecący ślad zanurkował w kierunku Ziemi. Gdy tylko stało się to możliwe, Bal podążył za nim w innym lądowniku, kierując się na drugą stronę planety.

Pozbawiony załogi statek kosmiczny okrążał Ziemię, lśniąc i rozsiewając blask. Nie było gwiazdy na zimowym nie-

bie, która mogłaby się z nim równać jasnością. Raz ziemski satelita znalazł się w jego pobliżu, ale świecił tak słabo, że umknął uwadze ludzi obserwujących niebo. W ciągu dnia statek był widoczny jako jasna plama światła. Wieczorem wydawał się płonąć kolorami zachodu.

Jasny i błyszczący krążył, wydając się być kawałkiem gwiazdy wyciętym z samego środka i dostarczonym w pobliże Ziemi, by ją oświetlić. Nigdy, a może prawie nigdy, Ziemi nie przydarzyło się nic podobnego.

Po pięciu dniach oba małe lądowniki opuściły Ziemię i okrążywszy ją, weszły na orbitę statku. Wślizgnęły się do środka, a wrota zamknęły się za nimi. W chwilę potem obaj kosmici spotkali się ponownie.

— Udało się — wykrzyknął triumfująco Bal. — Nie wiem, jak to zrobiliśmy; już myślałem, że się nie uda i wtedy oni się zgodzili – w ostatniej chwili.

Ethaniel uśmiechnął się.

— Jestem zmęczony — mruknął.

— Ja też, ale przede wszystkim zmarzłem — oświadczył Bal, dygocząc. — Śnieg, wszędzie śnieg, gdzie byś się nie udał. Paskudny klimat. A ty na dokładkę kazałeś mi chodzić na piesze spacer.

— Według moich doświadczeń to był dobry pomysł — powiedział Ethaniel. — Zauważyłem, że po każdym spacerze oficjele następnego dnia byli bardziej skłonni do współpracy. Skoro to działało u mnie, to musiało też działać u ciebie.

— I działało. Nie wiem dlaczego, ale działało — przyznał Bal. — Po prawdzie, ten ich traktat nie jest najlepszy, ale myślę, że zapobiegnie wzajemnemu wyniszczeniu się.

— Niczego więcej nie oczekiwaliśmy — powiedział Ethaniel. — Wciąż mogą mieć jakieś małe wojny, ale unikną dużej. Za pięćdziesiąt czy sto lat wrócimy i zobaczymy czego się nauczyli.

— Nie jestem pewien czy mam na to ochotę — powiedział Bal. — Słuchaj, a co to jest anioł?

— Co takiego?

— Anioł. Gdy wychodziłem na spacer, ludzie zatrzymywali się i przyglądali mi. Niektórzy klękali w śniegu i nazywali mnie aniołem.

— Tak, wiem, mnie również zdarzało się coś takiego — przyznał Ethaniel.

— Nie rozumiałem, o co chodzi, ale nie dałem się wyprowadzić z równowagi — powiedział Bal. — Uśmiechałem się i dalej zajmowałem swoimi sprawami. — Wzdrygnął się. — Cały czas było tak zimno. Wychodziłem zawsze pieszo, ale czasami wracałem, frunąc. Mam nadzieję, że nie szkodziło to niczemu.

Bal rozpostarł w kabinie swoje wielkie skrzydła. Renesansowi malarze nigdy go nie widzieli, ale dokładnie wiedzieli, jak wygląda. Wielokrotnie przedstawiali go na swoich malowidłach.

— Myślę, że to nam nie zaszkodziło — zgodził się Ethaniel. — Ja też czasami podlatywałem.

— Więc nie wiesz, co to jest anioł?

— Nie. Nie miałem na to czasu. To musi być jakieś stworzenie z ich folkloru. Słuchaj, przecież jeśli nie liczyć skrzydeł, to oni się od nas prawie nie różnią. Ich mity muszą przypominać nasze.

— Pewnie — zgodził się Bal. — W każdym razie, pokój na Ziemi.

Przełożył Ireneusz Dybczyński

Feliksa

„Student Body”, Galaxy Science Fiction, March 1953

Tłumaczenie Tadeusz Jan Dehnel

Pierwszego rana po wylądowaniu na planecie komendant wyszedł ze statku kosmicznego. Ledwie dniało. Komendant Hafner spojrzał w nikłe światło, szeroko otworzył oczy i cofnął się spiesznie. Po chwili wyszedł znów – tym razem w towarzystwie biologa.

— Wczoraj wieczorem twierdziłeś, że nie grozi niebezpieczeństwo — powiedział. — Nie zmieniłeś zdania? Dano Marin zrobił zdziwioną minę.

— Nie zmieniłem.

Był zakłopotany. Roześmiał się niepewnie.

— To nic śmiesznego — podjął Hafner. — Później porozmawiamy.

Biolog został przy statku. Spoglądał śladem komendanta, odchodzącego w stronę szeregu śpiących kolonistów.

— Pani Athyl — Hafner nachylił się nad nieruchomą postać.

Ziewnęła, otworzyła oczy, obróciła się na drugi bok i wreszcie wstała. Koców, które winny ją okrywać, nie było. Zniknęło również ubranie, w jakim pani Athyl ułożyła się do snu. Obecnie przybrała konwencjonalną pozę kobiety stwierdzającej nagle, że nieświadomie i wbrew woli została obnażona.

— Nic się nie stało, proszę pani — powiedział komendant. — Ja nie należę do gapiów z zamiłowania. W każdym razie proszę coś na siebie włożyć.

Tymczasem obudzili się prawie wszyscy koloniści, więc Hafner rzucił pod ich adresem:

— Jeżeli nie macie na statku ubrania, zaopatrzy was in-tendent. Wyjaśnień udzielimy później.

Koloniści rozproszyli się wstydliwie. Nie hołdowali przesadnej skromności, która nie mogła się ostać w ciągu osiemna-stu miesięcy spędzonych wspólnie w ciasnocie pojazdu ko-smicznego. Bądź co bądź jednak to wstrząs – ocknąć się bez ubrania i nie wiedzieć, w jaki sposób znikło ono podczas nocy. Byli zdziwieni, zaskoczeni – i to głównie zbijało ich z tropu.

W powrotnej drodze do statku Hafner zatrzymał się na moment.

— Masz pogląd na tę kwestię?

— Skąd? — Dano Marin wzruszył ramionami. — Planeta jest równie obca dla mnie, jak dla ciebie.

— Bezsprzecznie. Ale ty jesteś biologiem.

Marin był jedynym naukowcem w grupie tych nieokrzesanych kolonistów i specjalistów budowlanych, często więc wymagano odeń odpowiedzi na pytania w zakresach nie związanych bynajmniej z jego specjalnością.

— To chyba jakieś nocne owady — bąknął bez przekonania.

Wątpła hipoteza, chociaż Marin pamiętał, że dawnymi cza-sy szarańcza ogołacała pola w ciągu godzin. Coś podobnego mogła też chyba zrobić z ludźmi – nie budząc śpiących...

— Zbadam kwestię — dodał, — a jak będę wiedział coś konkretnego, poinformuję cię zaraz.

— Dobrze — zgodził się Hafner i zniknął we wnętrzu po-jazdu.

Dano Marin poszedł do lasku, w którym nocowali koloni-ści. Pozwolono na to omyłkowo, ale wydawało się, że nic nie stoi na przeszkodzie. Po półtorarocznej podróży zatłoczonym

statkiem wszyscy tęsknili spontanicznie do świeżego powietrza i szelestu liści nad głową.

Biolog rozejrzył się po opustoszałych zaroślach. Koloniści – mężczyźni i kobiety – zniknęli w głębi pojazdu; ubierali się zapewne.

Niewysokie drzewa miały liście koloru ciemnozielonego szkła butelkowego. Gdzieś tam ogromne białe kwiaty połykiwały w słońcu i – oświetlone jasno – wydawały się większe niż w rzeczywistości. Magnolie nie mogły oczywiście rosnąć nie na Ziemi, lecz drzewka przypominały magnolie i Marin począł tak je w myślach nazywać.

Problem zniknięcia odzieży zakrawał na paradoks. Instytut Badań Biologicznych nie mylił się nigdy, lecz w tym przypadku musiała zajść omyłka. Tę właśnie planetę uznano za najodpowiedniejszą dla człowieka spośród wszystkich odkrytych dotychczas. Mało owadów, zupełny brak groźnych zwierząt, niemal idealny klimat. Nazwę „Feliksa” uznano za najwłaściwszą. Cały obszar lądowy zdawał się jedną rozległą, uroczą łąką.

Widocznie pewne szczegóły uszły uwagi ludzi z Instytutu Badań Biologicznych.

Marin ukląkł, przystąpił do szukania śladów. Gdyby w grę wchodziły owady, zostałyby niewątpliwie trochę nieżywych, zgniecionych przez ludzi poruszających się przez sen. Nie znalazł jednak owadów – ani żywych, ani martwych.

Podniósł się, zawiedziony, i wolno ruszył w głąb lasu. Czyżby drzewa? W nocy mogły wydzielać opar zdolny rozpuścić materiał, z którego sporządzona była odzież. Trochę to naciągnięte, ale ostatecznie możliwe. Biolog zgniótł liść w palcach i potarł nim rękaw. Poczował ostry zapach, ale nie nastąpiło

nic szczególnego. Oczywiście pierwsze doświadczenie nie może obalić teorii.

Poprzez drzewka spojrział na błękitne słońce. Było większe niż na Ziemi, lecz jak gdyby dalsze. Mimo wszystko odpowiadało raczej ziemskiemu. Idąc dalej prawie przegapił lśniąca oczy zerkające nań z podszycia. Domena biologii obejmuje wszystko – od górnych warstw atmosfery do traw, mchów i żyjących wśród nich drobnych stworzeń.

Marin pochylił się szybko. Stworzenie umknęło z piskiem. Złapał je na murawie już za skrajem lasu. Uniesione, zmieniło się w coś bezkształtnego, wrzeszczącego. Przemówił łagodnym tonem i panika minęła. Zwierzątko, po drodze do statku, zabrało się z apetytem do marynarki biologa.

Komendant Hafner spoglądał niechętnie na klatkę. Zwierzątko było nieciekawe, małe - przypominało słabo rozwiniętego gryzonia. Sierść miało rzadką, szczeciniastą, bez połysku. Niepodobna liczyć na przyszły eksport takich skórek.

— Uda się je wytepić? — zapytał. — Oczywiście lokalnie.

— Wątpię. To gatunek ekologicznie podstawowy.

Komendant zrobił tępą minę, więc Dano Marin podjął wyjaśnienia.

— Wiesz naturalnie, jak Instytut przeprowadza rozpoznanie biologiczne. Po odkryciu planety i stwierdzeniu, że się nadaje do kolonizacji, wysyłamy statek z właściwą aparaturą. Statek przelatuje nisko nad znaczną częścią lądu i instrumenty rejestrują prądy neuronowe wysyłane przez znajdujące się w dole organizmy żywe. Instrumenty te są w stanie zanotować charakterystyczny układ neuronowy wszystkiego, co posiada mózg, nie wyłączając owadów. Daje to względnie dokładny

obraz gatunków znajdujących się na planecie oraz ich zasadniczego rozmieszczenia. Naturalnie ekspedycja zwiadowcza bada później kilka okazów. Trzeba to zrobić, aby porównać zwierzę z osiągniętymi wynikami. W przeciwnym razie wykres układu neuronowego pozostałby szeregiem niezrozumiałych hieroglifów, zapisanych na mikrofilmie. Ekspedycja zwiadowcza stwierdziła, że te zwierzęta należą do jednego z czterech gatunków ssaków żyjących na Feliksie. Nawiasem mówiąc, to gatunek najliczniejszy.

Hafner wydał nieartykułowany pomruk.

— Jeżeli więc wytępiamy je tutaj, nadciągną zaraz chmarami z sąsiednich okolic.

— Mniej więcej. Na półwyspie muszą ich być miliony. Oczywiście można by je lokalnie wytępić, gdyby zbudować zapórę na przesmyku łączącym półwysep z lądem stałym.

Komendant zmarszczył czoło. Budowa zapory była możliwa, lecz kosztem większych nakładów, niż mógłby sobie pozwolić.

— Co one jedzą? — zapytał.

— Jak się zdaje, wszystko po trosze. Owady, jagody, orzechy, owoce, nasiona. Zaliczyłbym je do wszystkożernych. Nawet nasza odzież przypadła im do smaku.

Hafner nie zdobył się na uśmiech.

— Podobno nasza odzież miała być odporna na szkodniki...

Marin wzruszył ramionami.

— Owszem, dotyczy to dwudziestu siedmiu planet. Na dwudziestej ósmej spotkaliśmy małe stworzonko posiadające lepsze soki żołądkowe. To cały sekret.

— Czy twoje wszystkożerne stworzenia będą napastować zasiewy? — zapytał żałośnie Hafner.

— Bo ja wiem? Wydaje się, że nie, ale to samo powiedziałbym wczoraj o tkaninach.

Komendant powziął decyzję.

— Dobrze. Nie martw się o zbiory. Znajdziesz sposób, by nie dopuścić plagi na pola. Tymczasem wszyscy mają sypiać na statku, póki nie wybudujemy koszar.

Marin pomyślał, że indywidualne jednostki mieszkalne byłyby właściwsze na obecnym etapie rozwoju kolonii. Ale nie on sprawował władzę, a komendant należał do ludzi poczytujących każdy plan za coś, co warto skrytykować.

- To zwierzę wszystkożerne... - rozpoczął biolog.

- Dobrze... Pracuj nad zagadnieniem - przerwał Hafner i odszedł.

Dano Marin westchnął. Wszystkożerne było istotnie ciekawym zwierzęciem, nie stanowiło jednak kluczowego zagadnienia. Czemu na przykład istnieje na Feliksie tak mało zwierząt lądowych? Liczne ptaki, tylko cztery gatunki ssaków i kompletny brak gadów. Wszystkie inne podobne planety kipią bogactwem życia. Czemu nie rozwinęło się ono tutaj mimo warunków pozornie idealnych? Marin postarał się o ten przydział, ponieważ ostatnią kwestię uważał za niezwykle interesującą. Tymczasem miał zostać tylko tępicielem.

Sięgnął do klatki i wyjął Wszystkożerne. Na Feliksie należało spodziewać się ssaków. Przemawiały za tym analogie ewolucji. W warunkach środowiska z grubsza podobnego winny powstawać zbliżone rodzaje i gatunki.

W późnowęglowym okresie żyło w ziemskich lasach zwierzę odpowiadające Wszystkożernemu: pierwotny ssak, z

którego rozwinęły się inne. Na Feliksie nie miała miejsca ewolucja pokrewnego typu. Co stało na przeszkodzie? Co zahamowało naturę? Oto prawdziwy problem – a nie wyniszczanie szkodników!

Marin zagłębił igłę w zwierzątko, które pisnęło i zwiśło bezwładnie. Włożył je do klatki napełniwszy strzykawkę krwią. Potrafił się wiele dowiedzieć o istotach żywych dzięki próbom ich zabijania.

Kwatermistrz krzyczał, chociaż normalny ton wystarczyłby w zupełności.

— Skąd wiesz, że to myszy? — zapytał go biolog.

— Spójrz! — obruszył się kwatermistrz. Marin spojrział. Istotnie, wszystko wskazywało na myszy. Nim zdążył odpowiedzieć, kwatermistrz warknął gniewnie:

— Tylko nie gadaj o jakichś myszokształtnych stworzeniach. To już znam. Chodzi o jedno. Jak się tej zarazy pozbyć?

— Próbowaleś trucizny?

— Powiedz, jakiej użyć. Bardzo chętnie spróbuję.

Kwestia nie była łatwa. Co może być trującego dla zwierzęcia, którego Marin nie widział nigdy i nic o nim nie wiedział. Przecież według opinii Instytutu Badań Biologicznych nic takiego nie istniało.

Problem okazał się nadspodziewanie poważny. Kolonia mogła żyć niezależnie od plonów i była na to przygotowana. Jednakże kolejnej partii kolonistów oczekiwano mniej więcej za trzy lata. Należało gromadzić nadwyżki żywnościowe dla zwiększonej liczby ludności. Gdyby w przyszłości produktów własnych nie udało się przechowywać lepiej niż koncentratów, nadwyżki byłyby nader szczupłe.

Marin przeprowadził szczegółowe oględziny magazynu – zwykłej prymitywnej budowli, mało estetycznej, lecz za to bardzo mocnej. Klepisko podłogi wzmocnione, grube na stopę ściany, podobnie płyty stropu. Całość łączona piankowym cementem, praktycznie biorąc gazoszczelnym. Dwoje wrót – kompletny brak jakichkolwiek otworów. Z pewnością taki magazyn winien być niedostępny dla gryzoni.

Dokładniejsze badania zdradziły nieprzewidziany defekt. Podłoga była twarda niczym szkło, żadne zwierzę nie zdołałoby jej przegryźć. Ale podobnie jak szkło, odznaczała się kruchością. Załoga, która budowała magazyn, śpieszyła się widocznie na Ziemię, nie wykonała więc pracy z należytą uwagą. Podłoga była gdzieś zbyt cienka i pękała pod spiętrzoną wysoko ciężkim sprzętem. Tamtędy właśnie zdołały wtargnąć żyjące w norach zwierzęta.

Trudno było o skuteczniejszy sposób, jak postawienie nowego magazynu. Ale podobne myszom zwierzęta znajdowały się we wnętrzu budynku i tam należało je opanować.

Biolog nabrał pewności siebie.

— Złapcie trochę żywych okazów, a zobaczę, co się da zrobić — powiedział.

Następnego rana dostarczono do laboratorium kilkanaście żywych okazów. Istotnie, bardzo przypominały myszy.

Reakcje ich okazały się dziwaczne. Żadna trucizna nie działała jednakowo na bodaj dwa osobniki. Po środku, który jedno uśmiercał w ciągu paru minut, inne pozostawały zdrowe i różne. Trucizna stosowana przez Marina przeciwko Wszystkożernym okazała się całkiem nieskuteczna.

Pustoszenie magazynów trwało. Czarne myszy, białe, popielate, brunatne, o krótkich ogonach i długich uszach lub od-

wrotnie pożerały koncentraty oraz zanieczyszczały to, czego zjeść nie mogły.

Marin odbył rozmowę z komendantem. Scharakteryzował zagadnienie w świetle własnych poglądów i przedstawił projekty skutecznego zaradzenia klęsce.

— Nie możemy wybudować nowego magazynu — zaproponował Hafner. — W każdym razie nie przed zainstalowaniem generatora jądrowego. A i wtedy będziemy mieli inne potrzeby — oburącz ścisnął skronie. — Nie! Bardziej podoba mi się drugi pomysł. Trzeba skonstruować jedną sztukę takiego stworzenia i przekonać się, jak działa.

— Myślałem o trzech — podchwycił biolog.

— Jedna wystarczy — rzucił stanowczo komendant. — Nie możemy szastać materiałem, póki nie zobaczymy skutków.

Najprawdopodobniej miał słuszość. Kolonia dysponowała zapasami, które zdołały dostarczyć trzy statki, ale im więcej dostarczano, tym bardziej rosły potrzeby i wymagania. W rezultacie odczuwano zawsze niedobory sprzętu i materiałów.

Marin przekazał stosowne zlecenie inżynierowi. Po drodze poprawił specyfikację na własną rękę. Był zdania, że skoro nie może dostać tyle sztuk, ile zażądał, niech przynajmniej ta jedna będzie lepsza.

W ciągu dwu dni maszyna została zbudowana i w małej klatce dostarczona do magazynu. Kiedy klatkę otwarto, maszyna wyskoczyła i stanęła opodal w zrównoważonej pozie.

— Kot! — zawołał radośnie kwatermistrz i wyciągnął rękę do misternego robota.

— Ostrożnie! — przestrzegł biolog. — Mogłeś dotknąć czegoś, z czym mysz miała uprzednio kontakt. To reaguje na

zapach nie gorzej niż na dźwięk lub obraz. Kwatermistrz cofnął spiesznie rękę. Robot zniknął bezszelestnie pośród nadwężonych zapasów.

Po upływie tygodnia okazało się, że myszy są wprawdzie jeszcze w magazynie, lecz nie przedstawiają już niebezpieczeństwa.

Komendant wezwał Marina do swojego biura, niewielkiego, lecz solidnego budynku, umieszczonego pośrodku osady. Kolonia rosła, zaczynała sprawiać wrażenie czegoś trwałego. Hafner siedział na krześle i z zadowoleniem patrzył na młode uprawy.

— Dobra robota z tymi myszami — zagaił rozmowę.

— Niezła — przyznał biolog. — Tyle że na Feliksie nie powinno być myszy. Instytut Badań...

— Daj spokój — przerwał komendant. — Każdy może się omylić, nawet I.B.B. — Rozsiadł się wygodnie i z miną bardzo serio spojrzał na Marina. — Mam jedno ważne i pilne zadanie. Rozumiesz, brak mi ludzi. Jeżeli więc nie miałbyś nic przeciwko temu...

Komendant odczuwał z reguły brak ludzi i miał go odczuwać do czasu, gdy na Feliksie wystąpi przeludnienie. Lecz nawet wtedy będzie zapewne poszukiwał obcych, którzy wykonałoby pracę obowiązującą w zasadzie jego zespół. Dano Marin nie podlegał bezpośrednio Hafnerowi. Został wypożyczony ekspedycji przez Instytut Badań Biologicznych. Był jednak zdania, że winien współdziałać z komendantem. Westchnął cicho.

— Nie taka zła robota, jak się obawiasz — Hafner uśmiechnął się interpretując westchnienie w sposób prawi-

dłowy. — Zmontowaliśmy sondę. Chcę, żebyś ty ją poprowadził.

Praca miała być badawcza, więc Marin odczuł znaczną ulgę.

— Widzisz, musimy importować prawie wszystko, z wyjątkiem żywności — ciągnął Hafner. — To długa droga i trudny transport, więc powinniśmy korzystać z wszystkiego, czego planeta może dostarczyć. Potrzeba nam ropy. W ruch puścimy mnóstwo kół i kółek, a każde z nich wymaga przecież smarów. W swoim czasie uruchomimy produkcję syntetyczną, ale chwilowo musimy szukać choćby średnio wydajnych naturalnych źródeł.

— Zakładasz, że geologia Feliksy jest zupełnie podobna do ziemskiej?

— Czemu nie? — Hafner machnął ręką. — Feliksa to po prostu bardziej udana bliźniacza siostra Ziemi.

Czemu nie? Marin pomyślał, że powierzchnia nie świadczy o niczym. Feliksa zdaje się przypominać Ziemię, ale czy rzeczywiście aż tak dalece? Cóż, nastrecza się dobra sposobność, by zbadać dzieje planety.

Hafner wstał.

— Jak tylko zechcesz, technik zapozna cię z sondą. Daj mi znać przed odjazdem.

W istocie rzeczy sonda nie była sondą. Nie poruszała z miejsca ani grama warstw zewnętrznych lub skały. Pozwalała jednak zaglądać pod powierzchnię do każdej głębokości. Był to pojazd gąsienicowy, wystarczająco duży, by człowiek mógł w nim żyć przez tydzień bez szczególnych niewygód.

Sama sonda składała się z ogromnego ultradźwiękowego generatora i urządzenia kierującego wiązkę promieni w głąb

planety. To był nadajnik. Zasadniczą część odbiornika stanowiły wielkie soczewki dźwiękowe, które chwyciły wiązki promieni załamanych na dowolnej głębokości i po przetworzeniu na energię elektryczną rzucały je w formie wizji na ekran.

Głębokość dziesięciu mil dawała obraz mętny, lecz wystarczająco przejrzysty, by wyrobić sobie pojęcie o ogólnej strukturze pokładu. Na głębokości trzech mil było lepiej. Sonda mogłaby uchwycić dźwiękowe odbicie spoczywającej tam monety i przetworzyć je w obraz, na którym nawet data byłaby wyraźna.

Sonda stanowiła dla geologa to, czym dla biologa był mikroskop, a Dano Marin, jako biolog, potrafił ocenić należycie jej znaczenie.

Rozpoczął pracę od cypla półwyspu i zakosami posuwał się w kierunku przesmyku. Metodycznie badał teren, a nocami sypiał w pojeździe. Rano trzeciego dnia zaobserwował ślady ropy, a około południa zdołał zlokalizować główne pole.

Powinien był wrócić zaraz, lecz po odkryciu ropy mógł sobie pozwolić na swobodniejsze badania. Rozpoczął przegląd od powierzchni i sięgał coraz głębiej i głębiej.

Wyniki przedstawiały się odwrotnie, niż należało oczekiwać. Warstwy do głębokości niewielu stóp obfitowały w pozostałości głównie czterech znanych gatunków ssaków. Zwierzę przypominające wiewiórkę oraz drugie, trawożerne i znacznie większe, były pierwszymi mieszkańcami lasów. Na równinach żyły dwa pozostałe gatunki, odpowiadające wymiarami zwierzętom leśnym.

Pod warstwami powierzchniowymi, pokrywanymi w przybliżeniu dwadzieścia tysięcy lat, nie było żadnych śladów

życia zwierzęcego. Pojawiały się znów dopiero na głębokości odpowiadającej ziemskiemu okresowi późnowęglowemu i świadczyły o występowaniu zwierząt typowych dla tej epoki. Na wspomnianej głębokości i niżej dzieje Feliksy były podobne do dziejów Ziemi.

Zaskoczony biolog przeprowadził sondowanie w kilkunastu odległych od siebie punktach. Wszędzie stwierdził to samo: pozostałości z ostatnich dwudziestu tysięcy lat i nic z okresu mniej więcej stu milionów. Głębiej nietrudno było odkryć ślady normalnego rozwoju.

A zatem, z grubsza licząc, sto milionów lat temu coś jedyne w swoim rodzaju wydarzyło się na Feliksie. Co to być mogło?

Piątego dnia sygnał radiowy przerwał tok badań.

— Tu Marin. Słucham — przełączył aparat na odbiór.

— Jak prędko zdążysz wrócić?

Spojrzał na fotomapę.

— Za trzy godziny. Dwie, jeżeli się pośpieszę.

— Lepiej za dwie. Nie żałuj benzyny.

— Znalazłem ropę. Ale co się stało?

— Wolę ci to pokazać. Pogadamy na miejscu.

Marin niechętnie zwinął aparaturę i ruszył w drogę powrotną. Jechał prosto, nie zwracając uwagi na teren. Błoto tryskało wysoko spod gąsienic. Zwierzęta umykały z wrzaskiem. Mniejsze laski omijał, przez większe sunął na przełaj, zostawiając za sobą spustoszenie.

Gwałtownie zatrzymał sondę na skraju osady. Cały ruch koncentrował się wokół magazynu. Lekkie ciężarówki wjeżdżały tam i wyjeżdżały, transportując zapasy na pobliski plac,

oczyszczony i starannie przygotowany. W kącie magazynu Marin odszukał komendanta zajętego rozmową z inżynierem.

Hafner zwrócił się do biologa.

— Twoje myszy podrosły, Dano.

Marin spojrział na podłogę, gdzie leżał kot-robot. Przyklęknął, aby go obejrzeć. Stalowy szkielet był zgnieciony, potłuczony, skóra z mocnego, grubego plastyku zdarta. Precyzyjny mechanizm zmienił się w bezkształtną miążgę.

Wokół kota leżało dwadzieścia, może trzydzieści niezwykle dużych szczurów. Kot walczył niewątpliwie. Trupy jego przeciwników nie miały głów, były wypatroszone, poszarpane straszliwie. Widocznie jednak szczury zwyciężyły dzięki przewadze liczebnej.

Instytut Badań Biologicznych stwierdził, że na Feliksie nie ma szczurów. Miało też nie być myszy. Skąd ta omyłka?

Biolog wstał z klęczek.

— Jak myślisz sobie poradzić? — zapytał.

— Zbudujemy nowy magazyn o monolitycznych ścianach i podłodze na dwie stopy grubiej. Przeniesie się tam wszystkie zagrożone materiały.

Biolog skinął głową. Sposób wydaje się skuteczny, chociaż musi pochłonąć wiele czasu i energii – całą energię świeżo uruchomionego reaktora jądrowego. Wszelkie inne budowy zostaną na razie przerwane. Nic dziwnego, że Hafner ma z troskaną minę.

— A może jednak skonstruować więcej kotów? — proponował Marin. Komendant uśmiechnął się krzywo.

— Nie było cię, kiedy otworzyliśmy wrota. Magazyn roił się od szczurów. Ile robotów dałoby im radę? Pięć? Piętnaście? Nie wiem. W każdym razie inżynier twierdzi, że mamy mate-

riał tylko na trzy koty. Tego, co tutaj leży, niepodobna wyremontować ani nawet wykorzystać na części.

Marin pomyślał, że nie trzeba inżyniera, by wydać taką opinię.

— Gdybyśmy chcieli zbudować więcej kotów — ciągnął Hafner — musielibyśmy rozebrać mózg elektronowy, który pracuje w pojeździe kosmicznym. Na coś takiego stanowczo nie pozwolę.

Oczywiście! Pojazd kosmiczny to jedyny środek łączności z Ziemią do czasu przybycia następnej ekspedycji.

Żaden komendant przy zdrowych zmysłach nie mógł zgodzić się na takie rozwiązanie.

Marin zastanawiał się, dlaczego Hafner polecił mu wrócić. Czy po prostu chciał go zaznajomić z sytuacją?

Hafner jak gdyby odgadł myśli biologa.

— W nocy — podjął — oświetlimy reflektorami zapasy przeniesione z magazynu. Wystawi się też uzbrojone warty do czasu, kiedy będziemy mogli umieścić żywność w nowym budynku. Zajmie to około dziesięciu dni. Tymczasem dojrzeją szybko wegetujące plony. Domyślasz się, że szczury zaraz się na nie rzucą. Trzeba zabezpieczyć naszą przyszłą żywność, musisz więc uaktywnić swoje zwierzęta.

— Jak to? — zdziwił się biolog. — Przepisy zabraniają wypuszczania jakichkolwiek zwierząt na teren planety przed ostatecznym zakończeniem badań nad możliwościami złych skutków.

— To potrwa dziesięć, może dwadzieścia lat. Sytuacja jest alarmowa. Ja przejmę odpowiedzialność na piśmie, jeżeli sobie życzysz.

Marin był stanowczo przeciwny. Bał się powtórzenia plagi królików w Australii czy też historii planety opanowanej przez ślimaki. Jednakże nie miał wyboru.

— Obawiam się, że to nie jest sposób na szczury takiej i wielkości — bąknął.

— Masz hormony. Możesz je zastosować.

Hafner odwrócił się i zaczął omawiać z inżynierem szczegóły przyszłej budowy.

Marin polecił zebrać martwe szczury i przechować w zamrażalni celem przeprowadzenia dokładnych badań.

Następnie udał się do laboratorium – pracował nad metodą postępowania ze zwierzętami domowymi, które przywieźli koloniści. Zastosował pierwsze zastrzyki i bacznie obserwował swe obiekty do czasu, gdy ustąpił wstrząs początkowej fazy wzrostu. Upewniwszy się, że życiu pacjentów nie grozi niebezpieczeństwo, podjął dalsze zabiegi.

Z kolei zajął się szczurami. Zastanawiające były różnice ich wymiarów, występujące również i w budowie wewnętrznej. Szczury posiadały normalne organy, które jednak różniły się między sobą znacznie. Uzębienie też było niejednolite. To potężne kły tkwiły w nieproporcjonalnie drobnych szczękach, to miniaturowe ząbki nie pasowały do silnie rozwiniętej struktury kostnej. Dotychczas Marin nie zetknął się nigdy z gatunkiem równie niezwykłym.

Kiedy rozpoczął mikroskopowe badania tkanek i zestawiał wyniki, stwierdził mniejsze rozbieżności. Osobniki różniły się pod tym względem nie tak wyraźnie, lecz wystarczająco, by budzić zdziwienie. Tyczyło to szczególnie komórek reprodukcyjnych.

Pod wieczór biolog odczuł raczej, niż usłyszał ledwie uchwytny szelest maszyn budowlanych. Wyrzwał z laboratorium i zobaczył ulatujące w górę kłęby dymu. Po wypaleniu roślinności dym niezwłocznie opadł. Tylko powietrze wibrowało nadal od gorąca.

Magazyn budowano na wzgórzu. Drobne zwierzątka buszujące w trawie zaatakowały najwrażliwsze miejsce: zaopatrzenie w żywność. Wobec tego wszelka roślinność zniknęła z placu przyszłej budowy. Nie pozostało ani źdźbła murawy.

Teriery. W przeszłości były to psy łowne okresu rolnictwa. Mały wzrost wyrównywały zaciekłością w bojach z gryzoniami. Posługiwano się nimi ongi na polach i w spichlerzach, a przez krótki czas pełniły podobne zadania. na nowo kolonizowanych planetach, gdzie warunki były zbliżone do ziemskich.

Koloniści przywieźli ze sobą teriery. Były one nadal zwinne i usposobione wrogo do gryzoni, lecz już nie małe. Marin dokonał nie lada dzieła – psy zachowały szybkość ruchów i energię, osiągając przy tym wzrost doga.

Szczury przeniosły się tymczasem na uprawy szybko-
wegetujących plonów. Odmiany te wyhodowano specjalnie na
użytek kolonistów. Zbiór odbywał się w niewiele tygodni po
zasiewie. Po czterokrotnym wykorzystaniu zasoby gleby wy-
czerpywały się doszczętnie, co nie miało znaczenia w począt-
kowym okresie życia na nowej planecie, obfitującej w uro-
dzajne tereny.

Powódź szczurów zalewała pola, wypuszczono więc psy. Uganiały się wśród roślinności, polowały. Skok, kłapanie zębami, jeden ruch głowy i - szczur leżał z pogruchotanymi kośćmi, a pies szukał kolejnej ofiary.

Po całych dniach teriery myszkowały na polach i mordowały. Wieczorem wracały do osady, wyczerpane i zbroczone krwią – zazwyczaj nie własną. Marin ładował je antybiotykami, bandażował rany, odżywiał dożylnie, a nieuleczalnie okaleczone zabijał podczas snu. Rano budził psy zastrzykami podniecającymi i – wzmocnione – wyprawiał do walki.

Przed upływem dwóch dni szczury zorientowały się, że nie sposób żerować za dnia. W zmniejszonej liczbie atakowały pola nocą. Wspinały się na łądygi, obgryzały kłosa, niszczyły jarzyny. Koloniści zainstalowali reflektory.

Godzinę przed zmierzchem biolog zwołał psy i uśpił zastrzykami. Obudzone tak samo po nastaniu ciemności, poszły ku polom chwiejąc się na nogach. Ożywił je dopiero zapach szczurów. Były równie zawzięte jak zwykle, chociaż mniej zwinne.

Szczury nadciągnęły z sąsiednich łąk, nie – jak dotychczas w pojedynkę czy po kilka. Przyszły gromadą. Piszcząc, szeleszcząc trawą postępowały w stronę pól. Marin nie widział nic, lecz słyszał wyraźnie. Kazał oświetlić teren wielkimi reflektorami.

Szczury zatrzymały się, oślepione. Piszczwały kręcąc się w miejscu. Psy zaczęły drzeć i skomleć; Marin powstrzymał je na razie i wypuścił dopiero, gdy gryzonie wznowiły pochód. Teriery ruszyły naprzód, lecz nie ważyły się zaatakować głównej masy. Chwytały maruderów, zmuszając przeciwnika do zacieśniania szyków, co z kolei zapewniało szczurom bezpieczeństwo.

Naturalnie można byłoby spalić zwartą kolumnę gryzoni, lecz koloniści nie posiadali odpowiedniego sprzętu, a sprowadzenie go trwałoby lata. Ponadto użycie ognia zagroziłoby

zbiorom, które należało uchronić za wszelką cenę. Pozostawiały tylko psy.

Formacja szczurów rozbiła się na skraju upraw. Zwierzęta maszerowały zwarcie w obliczu wspólnego nieprzyjaciela, ale w bliskości żeru zapomniały o jedności i rozproszyły się nieopatrznie. Głód okazał się potężnym wrogiem solidarności. Psy skoczyły do walki – łowiły wygłodzone gryzonie, uśmiercając jednego po drugim.

Nim nastał dzień, plaga minęła.

W następnym tygodniu koloniści zebrali plony i przygotowawszy żywność do magazynowania, rozpoczęli zaraz kolejny zasiew.

Marin siedział w laboratorium, próbował analizować sytuację. Kolonia przeżywała kryzys po kryzysie – wszystkie w zakresie wyżywienia. Poszczególne krytyczne momenty nie były groźne, lecz razem wzięte – mogły wieść do zguby. Tak czy inaczej, ekspedycji brakowało sprzętu niezbędnego do zagospodarowania Feliksy.

Wina zdawała się leżeć po stronie Instytutu Badań Biologicznych, który nie wykrył plag zagrażających zapasom żywności. Komendant może mówić, co chce. Instytut pracuje sprawnie. Jeżeli stwierdził, że na Feliksie nie ma myszy ani szczurów, musiało ich nie być w czasie prowadzenia badań.

Nasuwa się pytanie, skąd mogły przyjść i w jaki sposób?

Biolog siedział zapatrzony w ścianę. Roztrząsał w myślach hipotezę po hipotezie. Ze ściany przeniósł wzrok na klatkę z Wszystkożernymi - zwierzętami leśnymi rozmiarów wiewiórki. Był to gatunek najliczniejszy na Feliksie, stanowił więc widok powszedni dla oka kolonisty.

Niemniej jednak Wszystkożerne zasługiwało na uwagę większą, niż Marin był w stanie sobie zrazu uprzytomnić. Brzydkie, niepozorne, mogło wszakże być najważniejszym stworzeniem, jakie człowiek napotkał na wielu opanowanych światach. Im dłużej Marin patrzył, tym bardziej się umacniał w swoich domysłach.

Do zmroku siedział spokojnie, bez ruchu. Przyglądał się bacznie. Wreszcie Wszystkożerne podjęły normalne działanie. Normalne? Ten wyraz nie pasował do Feliksy.

Seans w laboratorium udzielił jednej odpowiedzi. Biolog potrzebował drugiej. Odgadywał ją, lecz wymagała dalszych badań, uzupełniających danych.

Troskliwie instalował swój sprzęt na krańcach osady. Pewien czas spędził w sondzie, na porównaniach z wynikami wstępnymi. To uzupełniło obraz. Kiedy upewnił się ostatecznie, poszedł do Hafnera.

Komendant był pogodny, jak gdyby stanowił wierne odbicie łatwości, z jaką kolonia wypełnia jedno zadanie po drugim.

— Siadaj — powitał gościnnie Marina. — Zapalisz? Biolog usiadł, sięgnął po papierosa.

— Myślę, że chętnie wysłuchasz, skąd wzięły się myszy — zaczął.

— Już nam nie dokuczają — uśmiechnął się Hafner.

— Odkryłem także pochodzenie szczurów.

— Iz nimi koniec. Wszystko idzie jak z płatka.

Przeciwnie, pomyślał Marin zastanawiając się nad właściwym wstępem.

— Feliksa — odezwał się wreszcie — ma klimat i topografię typu ziemskiego. Przynajmniej od dwudziestu tysięcy

lat. Znacznie dawniej, plus minus sto milionów lat temu, również przypominała Ziemię z analogicznej epoki.

Na twarzy komendanta spostrzegł wyraz uprzejmego zainteresowania, właściwego komuś, kto słucha rzeczy oczywistych. Tak! Przesłanki są oczywiste, ale nie da się tego powiedzieć o wnioskach.

— W okresie między stoma milionami a dwudziestoma tysiącami lat temu coś się działo na Feliksie — ciągnął Marin. — Nie znam istoty tych procesów. Należą one do historii kosmosu, może więc nie przenikniemy ich nigdy. Mogły to być fluktuacje Słońca, zakłócenie równowagi sił we wnętrzu planety albo spotkanie z chmurą pyłu międzygwiazdowego o zmiennym zagęszczeniu. Tak czy inaczej, klimat Feliksy uległ zmianie. Zmienił się z niepojętą gwałtownością i nadal przejawiał wahania. Przed mniej więcej stoma milionami lat Feliksę porastały lasy węglorodne. Żyły wśród nich olbrzymie gady przypominające dinozaura i bardzo małe ssaki. Pierwsza wielka zmiana zmiotła dinozaura, podobnie zresztą jak na Ziemi. Nie wyginął jednak pierwotny protoplasta naszych Wszystkożernych – zwierzę, które potrafiło przystosować się do nowych warunków.

— Chciałbym dać ci jakie takie pojęcie, na czym polegały raptowne zmiany klimatyczne. Otóż przez pewien czas dany obszar stanowił pustynię, następnie przeobrażał się w dżunglę. Z kolei powstawał lodowiec, a kiedy ustępował, cykl zaczynał się od nowa, i to z najbardziej zaskakującymi różnicami. Wszystko to mogło nastąpić... powiem raczej: następowało – w okresie życia jednego osobnika z gatunku Wszystkożernych. Zjawiska powtarzały się cyklicznie. Przez, z grubsza licząc, sto milionów lat stanowiły normalne warunki bytu na Feliksie;

warunki nie sprzyjające oczywiście zachowaniu skamienielin i innych pozostałości.

Hafner zrozumiał, zaczął zdradzać niepokój.

— Powiadasz, że wahania klimatyczne ustały nagle dwadzieścia tysięcy lat temu. Czy mogą się powtórzyć?

— Nie mam pojęcia — wyznał szczerze biolog. — Zapewne można by to sprawdzić... gdyby sprawa okazała się interesująca.

Hafner zmarszczył czoło.

— Jest interesująca, nawet bardzo — powiedział. Dano Marin przyznał mu w duchu rację.

— Chodzi o to, że przetrwanie było trudne. Ptaki mogły szukać bardziej sprzyjającego klimatu, więc migrowały. Zachowało się sporo ich gatunków. Ale tylko jeden gatunek ssaków zdołał się uchronić.

— Coś tu nie gra — wtrącił Hafner. — Są przecież cztery gatunki: w rozmiarach od wiewiórki do bawołu.

— Jeden gatunek — powtórzył z naciskiem Marin. — Należą do niego wszystkie ssaki. Jeżeli polepszają się warunki bytowania dla zwierząt dużych, małe rozrastają się. I odwrotnie. W razie niedostatku odpowiedniej żywności następne pokolenie kurczy się, przystosowuje do nowych warunków. Pokolenie takie może powstać, jak się zdaje, zdumiewająco szybko.

— Myszy... — zaczął wolno Hafner.

— Myszy nie było na Feliksie, kiedy wylądowaliśmy tutaj — dokończył jego myśl Marin. — Narodziły się z Wszystkożernych wielkości wiewiórki.

Komendant przytaknął skinieniem głowy.

— A szczury? — zapytał.

— To kolejny większy kaliber.

Hafner był człowiekiem praktycznym, wyszkolonym do administrowania kolonią. W świecie koncepcji czuł się niepewnie.

— Więc te mutacje — zaczął. — Sądziłbym...

Biolog uśmiechnął się półgębkiem.

— Na Ziemi byłyby to mutacje. Tutaj występuje tylko normalne przystosowanie drogą ewolucji. Nie mówiłem ci nigdy, ale Wszystkożerne, które na pozór mogłyby uchodzić za zwierzęta ziemskie, nie posiadają genów ani chromosomów. Bez wątplenia występuje u nich dziedziczność, lecz w jakiej formie – nie wyobrażam sobie. W każdym razie reagują na warunki zewnętrzne szybciej niż jakikolwiek żywy organizm, z którym zetknęliśmy się dotychczas.

— Innymi słowy, nigdy nie uwolnimy się od różnych plag — rzucił pośpiesnie Hafner. — Chyba że oczyścimy planetę z wszelkiego życia zwierzęcego.

— Myślisz o pyłe radioaktywnym? — zapytał biolog. — Życie zwierzęce na Feliksie wytrzymało gorsze kataklizmy.

Hafner wziął pod uwagę przeciwną alternatywę.

— Może należałoby opuścić planetę, pozostawić ją zwierzętom?

— Za późno - westchnął biolog. — Te zwierzęta będą wkrótce na Ziemi, na wszystkich innych zamieszkałych planetach.

Komendant zmierzył Marina zatroskanym wzrokiem. W jego wyobraźni zarysował się ten sam obraz. Na Feliksę wyprowadzono trzy pojazdy kosmiczne. Jeden został z kolonistami, jako ostateczny środek ratunku na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Dwa wróciły na Ziemię, by zameldować, że

sprawy układają się pomyślnie, i zażądać nowych dostaw. Na statkach tych odleciały również okazy miejscowej fauny.

Klatki były mocne, ale najmniejsze egzemplarze mogły wymknąć się między prętami, zagnieździć się w komorach ładunkowych pojazdu.

Nie można było zrobić nic, aby zatrzymać statki. A skoro wylądują na Ziemi... Biologom nie nasuną się żadne podejrzenia. Przynajmniej na razie. Najpierw pojawi się nowa odmiana szczurów. Wiadomo – mutacja. Nikt nie skojarzy tej nowej odmiany z okazami dostarczonymi z Feliksy.

— Musimy zostać — powiedział Marin. — Musimy prowadzić badania tutaj, w środowisku najwłaściwszym.

Wyobraził sobie olbrzymie kompleksy budowli ziemskich. Kosztowały za dużo, by je zburzyć, a następnie wznieść nowe, zabezpieczone przeciwko pladze. Niepodobna też ewakuować z Ziemi bilionów ludzi na okres trwania robót.

Feliksa - gigantyczne laboratorium, nie kolonia. Człowiek zyskał jedną planetę, a stracił równowartość dziesięciu, a być może i więcej. Okaze się to po dokładniejszym zbadaniu zdolności niszczycielskich Wszystkożernych.

Głuchy, zwierzęcy pomruk zakłócił lok myśli biologa. Hafner odwrócił się gwałtownie, spojrzał w stronę okna. Zaciął wargi, szeroko otworzył oczy. Porwawszy ze ściany strzelbę wybiegł. Marin pośpieszył za nim.

Komendant zmierzał w kierunku pól, gdzie dojrzewały kolejne plony szybko wegetujących roślin. Na szczycie wzgórka zatrzymał się raptownie, przyklęknął. Obrócił tarczę na „pełny ładunek”, zmierzył i wystrzelił. Pośród zieleni przemknęła brunatna, dymiąca smuga. Za wysoko.

Komendant wycelował uważnie. Padł drugi strzał. Ładunek trafił zwierzę w przednią łapę. Podskoczyło wysoko i upadło martwe, zwęglone.

Po chwili dwaj mężczyźni stanęli nad okazem upolowanym przez Hafnera. Pomijając brak pręg, stanowił wierną podobiznę tygrysa. Komendant dotknął go szpicem buta.

— Tępiemy szczury w magazynie, więc przenoszą się na pola — mruknął. — Na polach szczujemy je psami, więc wydają na świat tygrysy.

— Mniejszy z nimi kłopot niż ze szczurami — powiedział Marin. — Do tygrysów można strzelać.

Pochylił się nad rozszarpanym psem, przy którego zwłokach zobaczyli olbrzymiego kota.

Ze zboża wyszedł skomląc drugi pies. Był bojowy, odważny, ale nie mógł sprostać wielkiemu drapieżnikowi. Teraz skowyczał liżąc po pysku martwą sukę.

Biolog podniósł zmasakrowane zwłoki i ruszył w stronę laboratorium.

— Nic nie pomożesz — rzucił pośepnie Hafner. — Suka nie żyje.

— Ale szczenięta żyją i będą bardzo potrzebne. Szczury nie znikną dlatego tylko, że pojawiły się tygrysy.

Głowa psa zwisała bezwładnie z ramienia Marina, krew przesiąkała ubranie. Hafner szedł pod górę za biologiem.

— Jesteśmy tutaj od trzech miesięcy — odezwał się po chwili. — Psy puściliśmy w pole przed dwoma miesiącami. A przecież tygrys jest zupełnie dojrzały. Jak to tłumaczyć?

Marin ugiął się pod ciężarem psa. Oto padają wszelkie pojęcia, które wyrobił sobie jako biolog. Co wyjaśnia ewolucja?

To historia rozwoju życia organicznego w określonym świecie. Poza jego granicami może nie mieć zastosowania.

Człowiek nie wie wszystkiego nawet o sobie samym. W świadomości istnieją ciemne plamy, nad którymi teoretyczna wiedza może jedynie przejść do porządku dziennego.

Narodziny są prostą sprawą. Zdarzają się na niezliczonych planetach. Płochliwe trawożerne, groźne drapieżniki, rozmaite najdziwniejsze potwory wydają na świat młode. Proces powtarza się nieustannie. Młode rosną, dojrzewają i parzą się z kolei.

Marin przypomniał sobie wieczór w laboratorium. Naturalnie odkrycie było dziełem przypadku. Mógł przecież znajdować się gdzie indziej - nie zaobserwowałby niczego. Co by się wówczas stało? Wiedziałyby jeszcze mniej, niż wie obecnie.

Z powagą wyjaśnił Hafnerowi:

— W tym przypadku zdolność przetrwania jest zadziwiająco duża, a różnice wymiarów znaczne. Widocznie młode nie muszą wcale być młodymi. Przychodzą na świat jako osobniki dorosłe, całkowicie wydolne.

Mimo pewnego ograniczenia tempa kolonia rozwijała się nadal. Szybkość wegetacji nieco zwolniono. Przystąpiono do upraw bardziej zróżnicowanych. Budowano nowe magazyny, obszerniejsze, co ułatwiało częste kontrole.

Szczenięta żyły – dorosły w ciągu roku. Po stosownej tresurze wypuszczono je na pola, gdzie przyłączyły się do innych psów. Walka ze szczurami trwała i mimo pokaźnych szkód dawała zamierzone rezultaty.

Wszystkożerne zaczęły zdradzać apetyt na instalacje elektryczne. Jedyłą na to radę stanowiło nieustanne trzymanie urządzeń pod napięciem. Ale i tak zakłócenia w dopływie

prądu trafiały się często i trwały do czasu zlokalizowania krótkiego spięcia i usunięcia spopielają] padliny. Pojazdy parkowano pod strażą albo w stosownie zabezpieczonych garażach. Plaga nie przybierała na sile, ale i nie można jej było zwalczyć.

Masowe ataki tygrysów były o tyle mniej kłopotliwe, że duże zwierzęta stanowiły łatwy cel dla strzelców. Żerowały one jednak również nocą, koloniści musieli więc strzec osady przez dwadzieścia cztery godziny. Tam gdzie nie docierało światło, działały promienie infraczerwone, pod wpływem których tygrysy ginęły natychmiast. Z wyjątkiem pierwszej ofiary nie utracono ani jednego psa.

Tymczasem drapieżniki podlegały niedostrzegalnym zmianom. Na pozór były rosłe, lecz w miarę tępienia Marin obserwował zdumiewający objaw. Ich organy wewnętrzne stawały się stopniowo coraz mniej dojrzałe.

Ostatni badany tygrys odpowiadał budową wewnętrzną nowo narodzonemu szczeniciu. Małeńki żołądek był przystosowany do trawienia raczej mleka niż mięsa. Sposób, w jaki dostarczał energii napędowej dla kolosalnych mięśni, graniczył z cudem.

Był to ostatni upolowany tygrys. Napaści ustały.

Czas mijał i nie działo się nic nowego. Pojazd kosmicznej cywilizacji czy też znikoma jej część, reprezentowana przez kolonię, zwyciężyły gatunek, który Marin począł nazywać w myślach Wszechzwierzęciem. Wszystkożerne przetrwały katakлизmy przeszłości, były jednak bezradne w warunkach jeszcze surowszych.

Tak się przynajmniej zdawało.

Trzy miesiące przed spodziewanym przybyciem następnych kolonistów dała znać o sobie, nowa odmiana. Na polach pojawiły się zniszczenia. Nie mógł w grę wchodzić tygrys – zwierzę mięsożerne – ani szczur, gdyż kłosa były łuskane w sposób nietypowy dla gryzonia.

Nie chodziło o żywność, której rezerwy pokaźnie wzrosły. Jeżeli jednak zagrażała nowa plaga, należało opracować metodę jej zwalczania. Im szybciej zostanie rozpoznane nowe zwierzę, tym łatwiej będzie sobie z nim poradzić.

Psy nie przydawały się na nic. Szkodnik, którego nie atakowały, a nawet, jak się zdaje, nie potrafiły zwietrzyć, buszował wśród pól.

Kolonistów znowu zmobilizowano do służby wartowniczej. Przez tydzień patrolowali pola, lecz zwierzę wymykało się skutecznie, nawet nie dostrzeżone.

Hafner wzmocnił strażę i na polu najbardziej pustoszo- nym kazał zainstalować system alarmowy. Zwierzę odkryło widać zagrożenie, gdyż przeniosło się w inne miejsce.

W dwa dni później alarm zabrzmiał na krótko przed świętem.

Marin i Hafner spotkali się na skraju osady. Obydwaj mieli strzelby. Szli pieszo, aby odgłos jakiegokolwiek pojazdu nie spłoszył szkodnika. Okrążyli pole, chcąc ubezpieczyć je od przeciwległej strony. W obozie zarządzono ostre pogotowie. W razie potrzeby pomoc miała nadejść niezwłocznie.

Cicho szli przez zarośla. Zwierzę żerowało na polu - niezbyt hałaśliwie, lecz tak, że można je było słyszeć.

Psy nie czekały.

Postępowali wolno, krok za krokiem. Błękitne słońce Feliksy weszło i nagłym blaskiem spowiło szkodnika. Hafner

opuścił rękę, w której trzymał strzelbę. Po chwili Jednak zaciśnął zęby i zmierzył.

Marin podniósł dłoń ostrzegawczym ruchem.

— Nie strzelaj — szepnął.

— Ja jestem komendantem — burknął Hafner. — To niebezpieczny szkodnik.

— Niebezpieczny — przyznał biolog nie podnosząc głosu. — Dlatego właśnie nie strzelaj. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo jest niebezpieczny.

Hafner zawahał się, Marin zaś mówił dalej:

— Wszystkożerne nie mogły funkcjonować w nowym środowisku, więc wydały na świat myszy, a kiedy zażegnaliśmy i to niebezpieczeństwo, pojawiły się szczury. Opanowaliśmy i tę plagę, wówczas wystąpiły tygrysy. Walka przeciwko nim okazała się najłatwiejsza, wobec czego Wszechzwierzę uspokoiło się na pewien czas. Ale nie dało za wygraną. Powstała następna forma, którą widzisz przed sobą. Wyprodukowanie jej trwało dwa lata. Rozumiesz? A na Ziemi trzeba było milionów lat!

Hafner nie opuścił strzelby i najwidoczniej nie myślał tego zrobić. Pieścił wzrokiem przyrządy celownicze.

— Czy ty nic nie rozumiesz? — nacierał dalej Marin. — Nie zdołamy zniszczyć Wszechzwierzęcia. Jest już, na Ziemi i na innych planetach. Żeruje w magazynach wielkich miast. Z powodzeniem udaje szczura. Od wieków nie możemy zwalczyć własnych, ziemskich, szczurów, jakim więc cudem mogliśmy wytępić te?

— Tym bardziej należy rozpocząć zaraz — rzucił szorstko Hafner.

Marin szarpnął w dół strzelbę komendanta.

— Czy ich szczury są lepsze od naszych? — podjął głucho. — Czy ich plaga pokona naszą, okaże się mocniejsza? A może zawrą rozejm, zjednoczą się, skrzyżują i wspólnie poprowadzą z nami wojnę? To nie jest wykluczone. Wszechzwierzę może zastosować i taką metodę – jeżeli krzyżowanie wzmocni siłę przetrwania. Jeszcze nic nie rozumiesz? Działa tu prawo postępu. Po tygrysie – zjawilo się to! Jeżeli zawiedzie nowy szczebel ewolucji, jeżeli zniszczymy to stworzenie, co narodzi się w kolejnej fazie? Sądzę, że istota, z którą nie będziemy w stanie współzawodniczyć. Rozumiesz? Czemuś, co nastąpi po tym, wolałbym nie stawiać czoła.

Zwierzę usłyszało głosy. Podniosło głowę, rozejrzało się dokoła. Po chwili cofnęło się bez pośpiechu i odeszło w stronę najbliższego zagajnika.

Biolog wyprostował się, zawołał z cicha. Zwierzę umknęło między drzewa i czujnie przystanęło w ich cieniu.

Hafner i Marin odłożyli strzelby. Ramię w ramię zbliżali się wolno do lasku. Ręce mieli rozłożone na znak, że nie posiadają broni.

Zwierzę wyszło im na spotkanie. Było nagie. Nie zdążyło jeszcze wymyślić odzieży. Nie miało również broni. Zerwało z drzewa ogromny biały kwiat i niosło go przed sobą na znak pokoju.

— Ciekaw jestem szczegółów — powiedział Marin. — Wydaje się dorosłe, nie może jednak być całkowicie dojrzałe. Chciałbym zobaczyć jego wewnętrzne organy.

— Mnie niepokoi bardziej to, co ma w głowie — podchwycił Hafner posępnym tonem.

Zwierzę było łudzaco podobne do człowieka.

Tłumaczenie Tadeusz Jan Dehnel

Ucieczka powypadkowych

Przekład Ireneusz Dybczyński

Ilustrował Ed Alexander

Tematy dotyczące niepełnosprawnych, jeśli już są poruszane w fantastyce naukowej, to koncentrują się raczej na tym, jak wspaniale zostało wyleczone lub w inny sposób zrekompensowane kalectwo. Rzadziej poruszane są problemy akceptacji i miejsca niepełnosprawnych w społeczeństwie. Poniższe opowiadanie przedstawia niepełnosprawnych w sytuacji całkowitego odrzucenia przez społeczeństwo, ukazując jednocześnie, jak, mimo kalectwa, dają sobie wspaniale radę w każdych warunkach. Opowiadanie to wzbudziło w swoim czasie tak duże zainteresowanie, że autor został zachęcony do rozwinięcia go w powieść.

Poniższy tekst nie jest jednak pod względem technicznym tłumaczeniem opowiadania „Accidental Flight” zamieszczonego w Galaxy Science Fiction w kwietniu 1952 roku, lecz połową powieści „Address: Centauri” w wydaniu książkowym z 1955. Oba teksty merytorycznie nie różnią się specjalnie, niemniej nieco się różnią, chociaż w tłumaczeniu te różnice mogą się nie rzucać w oczy. Skąd to się wzięło? Przerabianie dobrze przyjętych opowiadań na powieści jest w SF procederem nagminnym. Efekty są różne. Tutaj mamy okazję zetknąć się z efektem niezbyt pomyślnym. Przeczytawszy opowiadanie, postanowiłem, nie czytając, przetłumaczyć pełną wersję książkową. Mając już surowy tekst, byłem tak zawiedziony, że z początku zastanawia-

łem się nawet nad porzuceniem projektu, niemniej po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że pierwotna wersja jest warta włożonej pracy i postanowiłem obciąć tekst do formatu opowiadania.

Ilustracje pochodzą z wersji w czasopiśmie Galaxy Science Fiction. Autorem jest Ed Alexander.

I.D., 2017

1

— Wasza prośba została przekazana do Rady Medycznej i zapewniam cię, że została dokładnie rozpatrzona, zanim odesłano ją do Komitetu Solarnego — powiedział doktor Cameron, wbijając wzrok w blat biurka. Sztuka dyplomacji nie była jego domeną.

Światło zamigotało. Było nieznośnie jaskrawe. Sam fakt istnienia tego człowieka działał na Camerona strasznie rozpraszająco. Ktoś taki nie miał prawa żyć. Może gdzieś w głębi mórz mogły żyć podobne stworzenia. Wyglądał jak postać ze „snu nocy letniej”, ludzka istota tak okaleczona... Cameron starał się na niego nie patrzeć.

Docchi zeszywniał, a na jego twarzy pojawił się wyraz oczekiwania.

— Na tę chwilę po prostu: nie! — oznajmił Cameron.

— Taka jest odpowiedź? — Docchi oklapł, ramiona mu obwisły.

— Sprawa wcale nie jest beznadziejna. Decyzję zawsze można zmienić. Nie pierwszy raz.

— Jasne — powiedział Docchi. — Będziemy czekać i czekać, dopóki nie zostanie zmieniona. Mamy setki lat czasu, tak? — Jego twarz rozbłysła czerwienią. Nie zdając sobie z tego sprawy, tracił kontrolę. Pewne komórki pod jego skórą zostały zmodyfikowane, zawierały substancje, których u normalnych ludzi nie było. Gdy dochodziło do ekstremalnego przyływu energii nerwowej, zaczynały świecić. Mechanizm metaboliczny tego zjawiska wywodził się od robaczków świętojańskich. Cameron bezwiednie zaczął regulować oświetlenie. Wciąż go raziło. Docchi zawsze był utrapieniem. — Dlaczego? — dopytywał się. — Przecież pan wie, że damy radę. Dlaczego odmówili?

Cameronowi nie podobało się to pytanie. Nie miało odpowiedzi, którą obaj by mogli zaakceptować. Czasem jednak najlepszym wybiegiem jest szczerość.

— Uważasz, że mogliby zabrać ciebie? — zapytał. — Albo Nonę, Jordana czy Anti?

Docchi skurczył się, jak kopnięty. Jego ramiona zadrżały bezużytecznie.

— Może i nie. Ale już panu mówiłem, że chcemy, aby o tym zdecydowali eksperci. Jest nas niemal tysiąc. Mogliby z tego skompletować wykwalifikowaną załogę.

— Może by i mogli. Wcale nie twierdzą, że nie. — Cameron porzucił regulację oświetlenia; nie miał nad tym kontroli. — Większości z was jest biokompensatorami. Przyznaję, że to jest czynnik działający na waszą korzyść. Ale musicie sobie też zdawać sprawę, że wiele rzeczy świadczy przeciwko wam. — Wbił spojrzenie w blat biurka. W biurku była szuflada, a w szufladzie... W szufladzie było coś, co próbował wykryć lub rozpoznać. Czym dłużej się tym zajmował, tym bardziej niewyraźne

się mu to wydawało. — Tracicie czas na dyskusje ze mną — powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to twardo i profesjonalnie. — Ja tylko przekazuję decyzje. Za nic nie jestem odpowiedzialny i nic nie mogę dla was zrobić.

Docchi wstał, twarz mu zbielała i pojaśniała. Ale wewnętrzna iluminacja nie była wcale wyrazem nadziei.

— Radzę byś się uspokoił. — Cameron po raz pierwszy spojrział na niego wprost. Nie było tak źle, jak się spodziewał. — Nabierz cierpliwości i czekaj. Zdziwi cię, jak często udaje nam się dostać to, czego chcemy.

— To pan się zdziwi, jak dostaniemy to, czego chcemy — powiedział Docchi. Odwrócił się i ruszył do drzwi, które otworzyły się automatycznie, a potem za nim zamknęły.

Cameron znów skupił wzrok na blacie biurka, jak gdyby próbując dojrzeć to, co było pod spodem. Spisał sekwencję tego, co spodziewał się znaleźć; zrobił to z namysłem, by być pewnym, że nie zniekształca obrazów pojawiających się w jego głowie. Otworzył szufladę i marszcząc brwi w rozczarowaniu, porównał karty Rhine'a¹ ze swoimi zapiskami. Jakkolwiek by nie próbował, nigdy nie uzyskał lepszych wyników niż średnia statystyczna. Może i było w tym coś z telepatii, ale nigdy nie udało mu się nic znaleźć. Niemniej było jasne – nie należał do nielicznej grupy utalentowanych.

Zasunął szufladę. To była taka jego osobista gra, sposób nieangażowania się w problemy Docchiego, unikania emocjonalnych uwikłań z ludźmi, z którymi nic go nie łączyło. Nie bawiło go pozbawianie słabych i bezsilnych mężczyzn i kobiet tych resztek nadziei, jaka im pozostała. To ta ich słabość czyniła, że zajmowanie się nimi było takie trudne.

Włączył telekom.

— Połącz mnie z radcą medycznym Thorntonem — polecił operatorowi. — Jeśli to możliwe, to bezpośrednio, a jeśli nie, to przez stację. Będę czekał.

Licząca średnio trzydzieści mil średnicy asteroida była określana na mapach jako „Niebo Niepełnosprawnych” z oznaczeniem wskazującym, że lądowanie na niej bez specjalnego zezwolenia jest możliwe tylko w sytuacjach nadzwyczajnych. Ludzie na niej przebywający przyznawali, że są niepełnosprawni, ale nie nazywali jej niebem. Używali innych określeń, z których żadne nie sugerowało sanktuarium.

Był to oczywiście szpital, ale jeszcze bardziej był to ośrodek rekonwalescencji – taki stały. Zdrowa i aktywna ludzkość wyznaczyła odległą planetoidę, wirującą bladą skałą, nie posiadającą żadnej innej wartości i zbudowała na niej ogromną instalację dla mniej szczęśliwych osobników. To był szlachetny gest, ale jak wiele gestów, rzeczywistość nie dorównywała intencjom. I mało kto spoza „Nieba” zdawał sobie sprawę, na czym polega błąd.

— Radca medyczny Thornton został zlokalizowany. — Głos automatycznego operatora wyrwał Camerona z zamyślenia. Na ekranie pojawił się starszy mężczyzna spoglądający władczo i kompetentnie.

— Dobrze, że pan dzwoni — oznajmił. — Lecę teraz na satelity Jowisza. Będę w bezpośrednim zasięgu jeszcze pół godziny. Otrzymał pan odpowiedź od Komitetu Solarnego?

Nadawanie i odbiór były na tym dystansie prawie natchmiastowe. Cameron był pewien niezakłóconej rozmowy.

— Dziś rano. Nie widziałem celu w przetrzymywaniu jej. Właśnie przekazałem ją Docchi'emu.

— Bez zwłoki, tak lubię. Od razu wykonać przykrą robotę — powiedział radca, szukając czegoś bezskutecznie na biurku. — Nie ma sprawy. Znajdę to później. No dobrze. Jak zareagował Docchi?

— Nie podobało mu się. Był wyraźnie wściekły.

— To przemawia za odrzuceniem.

— Oni wszyscy ulegają emocjom. Do niczego się nie nadają — powiedział Cameron. — Przyznam, że nie przyglądałem mu się za dużo, chociaż wyglądał nie najgorzej; na swój sposób jest nawet przystojny.

— To prawda — zgodził się obojętnie Thorton. — Miał ręce?

— Dzisiaj miał. To ważne?

— Tak myślę. Spodziewał się dobrej nowiny i chciał wyglądać jak najlepiej, tak normalnie, jak tylko to możliwe. W kontekście tego dziwię się, że nie groził panu.

— Myślę, że groził, ale dość spokojnie. — Cameron próbował przypomnieć sobie szczegóły. — Powiedział coś takiego, że będę zdziwiony, gdy dostaną to, czego chcą.

— Przewiduje więc pan kłopoty. I dlatego dzwoni?

— Sam nie wiem. A jak pan uważa?

— To pan jest tam, doktorze. To pan jest w stanie wyczuć istotne niuanse — stwierdził niecierpliwie radca medyczny. — Niemniej uważam, że nie zaczną niczego od razu. Potrzebują trochę czasu, by wyjść z szoku po odmowie. Nic nie mogą zrobić. Pojedynczo są bezsilni, a razem również nie stanowią żadnej siły dla tuzina zdrowych ludzi na asteroidzie.

— Nie przeczę, że nie ma w tym racji — powiedział Cameron — ale jest coś, co mnie niepokoi. Przeglądałem akta.

Żaden powypadkowy nigdy nie lubił tutaj przebywać i takie dane są z wielu lat.

— Nikt nie lubi szpitala, doktorze, dopóki nie zachoruje.

— Wiem. I po części to jest przyczyną. Oni już nie są chorzy, niemniej muszą tu pozostać. Ale najbardziej mnie martwi to, że nigdy wcześniej nie było takiego niezadowolenia, jak teraz.

— Mam nadzieję, że nie muszę panu zwracać uwagi na to, że ktoś ich buntuje. Niech pan się dowie kto i bacznie go obserwuje. Jako lekarz łatwo pan znajdzie pretekst – różna dieta, seria testów. Może pan taką osobę wzywać do siebie codziennie.

— Ja już wiem, kto to jest. To taka samozwańcza grupa czterech osób: Docchi, Nona, Anti i Jordan. Wydaje mi się, że to oni stanowią lokalny komitet organizujący rozrywki.

— Świetny kamuflaż — uśmiechnął się radca medyczny.
— Przynajmniej nie nudzą się w ten sposób.

— Też tak uważałem, ale doszedłem do wniosku, że stało to się już zbyt niebezpieczne. Chciałbym dostać pozwolenie na rozbitcie grupy. Oczywiście w humanitarny sposób.

— Zawsze chętnie widzę nowe pomysły. — Bez względu na to, co mówił, radca medyczny Thorton miał z pewnością otwarty umysł.

— Na początek dla większości z nich można by zrobić coś przyjemnego. Na przykład, Docchi. Z protezami rąk, jeśli pominąć tę niesamowitą fluorescencję, wydaje się być prawie normalny. U przeciętnego człowieka z pewnością budzi to wstręt. Medycynie tego skorygować nie potrafimy, ale możemy zrobić z tego cenną właściwość.

— Cenną właściwość? Bardzo ładnie, tylko czy to się uda? — na twarzy radcy medycznego pojawił się wyraz wątpliwości.

— „Rewia dziwolągów” — powiedział pospiesznie Cameron. — To najpopularniejszy program w systemie słonecznym; telepaci, telekinetycy, piromani i inni tego typu bohaterowie; oczywiście fałszywi – makijaż i triki filmowe. A Docchi może zostać prawdziwą gwiazdą. Powiedzmy człowiek promienie śmierci. Gdy jego twarz świeci się, ludzie padają martwi albo sparaliżowani. Dzieciaki by za nim szalały. Miałyby fantastyczne powodzenie u młodzieży.

— Dzieci... — zastanawiał się radca. — Poważnie chce pan je wystawić na jego wpływ? Naprawdę chciałby pan, żeby go zobaczyły?

— Miałyby szansę na powrót do społeczeństwa w sposób dla niego akceptowalny — powiedział defensywnie Cameron. O dzieciach przede wszystkim nie należało wspominać.

— Dla niego, może... — Radca nie był przekonany. — Zły pomysł to nie jest i dobrze świadczy, panie doktorze, o pańskim humanitaryzmie, ale obawiam się reakcji opinii publicznej. Przeglądał pan historię choroby Docchi'ego?

— Zajrzałem do niej, zanim go wezwałem.

Docchi był niezwykły, nawet tam, gdzie niezwykłość była czymś powszechnym. Był inżynierem elektrochemikiem specjalizującym się w zimnym oświetleniu. Na drodze do wspaniałej kariery spotkał go szczególnie paskudny wypadek. Szczegóły nie były opisane, ale Cameron mógł sobie je wyobrazić. Został ciężko poturbowany i wpadł do zbiornika z cieczą, na której opierała się technologia zimnego oświetlenia.

Przeżył to. Życie w nim zamierało, ale nigdy nie uleciało całkiem. Stracił ręce, a jego żebra zostały skruszone przy samym kręgosłupie. Regeneracja była niełatwa; żebra udało się odbudować jedynie częściowo i nic poza nimi. Nie miał mięśni ramion i jedynie szczątkowe umięśnienie pleców. Dlatego teraz, dużo później, męczył się szybko, a protezy rąk, w które go zaopatrzone, spełniały jedynie funkcje ozdobne; nie był w stanie niczego nimi robić.

Do tego ten fluoryzujący płyn. To były przede wszystkim związki bioorganiczne, co być może było przyczyną, że w ogóle utrzymał się tak długo przy życiu w sytuacji, gdy powinien był umrzeć. Substancje te podtrzymały jego życie, zastąpiły po części jego krew, wsączyły się do wszystkich tkanek. Zanim go znaleziono, jego ciało przyswoiło sobie te substancje. Życie okazało się znacznie twardsze, niż sądzi większość ludzi, ale okazało się również perwersyjne.

— Czyli wie pan, jaki on jest — stwierdził radca medyczny, potrząsając głową. — Jako lekarze nie powinniśmy sponsorować chimerycznych demonstracji jego krzywd. Nie wątpię, że Docchi odniósłby sukces w tym programie, ale oprócz finansowych osiągnięć są jeszcze inne aspekty tej sprawy. Na przykład spodziewam się osobliwego podziwu, który z pewnością będzie go otaczał. Jako aktor będzie posiadał jakąś niszę, ale czy może pan sobie, doktorze, wyobrazić tę martwą ciszę, gdy pojawi się w miejscu, gdzie zgromadzili się normalni ludzie?

— Rozumiem — powiedział Cameron, chociaż nie rozumiał; przynajmniej na tyle, żeby się z tym zgodzić. Niemniej nie miał zbyt wielu argumentów, żeby go teraz przekonać.

Czekały go duże problemy. — Zapomnijmy więc o Docchim. Jest inny sposób na rozbitcie grupy.

— Nona? — wtrącił radca.

— Tak. Nie jestem pewien, czy ona rzeczywiście powinna być tutaj.

— Każdy młody lekarz rozumuje tak samo — stwierdził uprzejmie radca — ale zwykle wyczekuje prawie do końca swojego kontraktu, zanim wysunie tezę, że łatwiej można by nawiązać z nią kontakt, gdyby powróciła do normalnego społeczeństwa. Chyba wiem, jaki kontakt mają na myśli. — Thornton uśmiechnął się po ojcowsku. — Bez obrazy, doktorze, ale zdarza się to tak często, że myślę o włączeniu do naszych instrukcji stosownej informacji. Coś, co by nakazywało nowym kierownikom medycznym unikania pięknej i zrównoważonej kretynki.

— Czy ona jest głupia? — zapytał z uporem Cameron. — W moim odczuciu, nie.

— Jest sprawna manualnie — zgodził się radca. — Ludzie z jej klasyfikacją umysłową, bardzo niską, czasami tacy są. Ale nie należy mylić sprawności manualnej z inteligencją. Przede wszystkim dlatego, że ona nie ma w swoim mózgu odpowiednich struktur. Ona definitywnie nie jest normalna. Nie mówi, nie słyszy i nigdy nie będzie. Brak jej krtani, a chociaż rekonstrukcja byłaby możliwa, to i tak by to w niczym nie pomogło. Musielibyśmy przekształcić cały jej mózg, a obecnie jeszcze tego nie potrafimy.

— Myślałem o zróżnicowaniu nerwów — zaczął Cameron.

— Ma pan na myśli mutację nadrzędną? Niech pan o tym zapomni. Jest wiele różnych anomalii, na przykład rozszcze-

pienie podniebienia, co kiedyś było bardzo pospolite, niedożywienie prenatalne, trauma. Takie rzeczy możemy łatwo korygować, ale Nona znajduje się poza zakresem naszej chirurgii. Wie pan, zawsze jest coś poza naszym zakresem. — Radca zerknął na chronometr.

Cameron również sprawdził czas – powinni ustalić jakiś sposób postępowania. O Helen Keller² wspominać nie warto, radca użyje tego argumentu przeciw niemu. Techniki Keller zostały dokładnie przestudiowane i zreinterpretowane na potrzeby Nony. To wszystko jest w jej historii choroby. Próbowano już i nie uzyskano rezultatów. Nie miało znaczenia, że on, Cameron, uważa, iż w sposobie stosowania tych starych technik były pewne wady. Thorton nigdy by nie pozwolił, żeby poprzednim terapeutom zarzucono błędne postępowanie.

— Zastanawiam się — powiedział — czy my nie próbowaliśmy zmusić jej do adaptacji. Ona może być inteligentna, ale nie umiejąc czytać ani pisać, nie rozumie, co mówimy.

— Jakim sposobem? — zaoponował radca. — Język jest najważniejszym narzędziem człowieka. To za jego pośrednictwem rozprzestrzenia się cała wiedza. — Thorton urwał, zastanawiając się. — Chyba, że ma pan na myśli tę swoją „Rewię dziwolągów”. O to chodzi? Niemniej, ja bym to wolał nazwać „Rewią Rhine'a”.

— Właśnie nad tym się zastanawiałem — przyznał Cameron. — Być może, gdyby istniał jeszcze jeden ktoś taki jak ona, nie musiałaby się komunikować naszym sposobem. W każdym razie, jeśli pan pozwoli, to chciałbym zrobić kilka testów. Będę potrzebował trochę nowego sprzętu.

Radca medyczny znalazł w końcu papier, którego poszukiwał w międzyczasie. Spojrzał i zmiął go, zastanawiając się.

— Dobrze — powiedział — niech pan to zrobi, skoro to pozwoli panu poczuć się lepiej. Osobiście zatwierdzę zapotrzebowanie. Co nie znaczy, że dostanie pan wszystko, co zechce. Inni również będą musieli to zatwierdzić. Niemniej powinien pan wiedzieć, że nie jest pan pierwszym, który uważa, że ona jest telepatką albo czymś podobnym.

— Też widziałem dokumentację. Ale myślę, że mogę być pierwszym, który to udowodni.

— Cieszę się, że podchodzi pan do tego z entuzjazmem. Tylko niech pan nie traci obiektywizmu. Nawet jeśli ona jest telepatką, a na ile to zbadaliśmy – nie jest, to czy rzeczywiście będzie bardziej przystosowana do życia na zewnątrz?

— Chyba ma pan rację — odparł Cameron. On miał swoje zdanie, a radca swoje. — Powinna tu zostać bez względu na wszystko.

— I niech zostanie. Rozbicie grupy rozwiązałoby pana problemy, ale proszę na to nie liczyć. Musi się pan nauczyć kierować nimi tak, jak są.

— Dopilnuję, żeby nie sprawiali kłopotów — powiedział Cameron.

— Jestem tego pewien — powiedział radca. Jego ton nie zdradzał nadmiernego zaufania. — Gdyby potrzebował pan pomocy, to przyślemy wsparcie.

— Nie przewiduję aż takich problemów — zapewnił pospiesznie Cameron. — Tak ich omotam, że będą chodzić w kółko.

— Najlepszą polityką jest dezorientacja — zgodził się radca. Rozprostował arkusz i spojrział na niego. — O i powiem panu teraz, zanim będzie za późno. Prześlę szczegóły dotyczące nowych procedur dla kilku deficyjentów... — Obraz zapadł

się, zmieniając w nieznaczące kolorowe plamy. — Doktorze, zrozumiał pan, co powiedziałem? Jeśli coś jest niejasne, to proszę się kontaktować. Błędy mogą być fatalne. — Głos był jeszcze przez chwilę zrozumiały, po czym również rozpułnął się w zakłóceniach.

— Nie można utrzymać statku we wiązce — oznajmił automat. — Jeśli chce pan kontynuować rozmowę, będziemy musieli nawiązać połączenie przez najbliższą stację główną. W obecnej chwili jest to Mars.

— Już skończyliśmy — odpowiedział Cameron. Czekanie kilka minut na odpowiedź było uciążliwe. Poza tym radca medyczny nie mógł albo nie chciał mu pomóc. Wolał utrzymać *status quo*, nic innego go nie zadowalało. Zadaniem dyrektora medycznego było, by tego dopilnować.

Telekom kliknął, wyłączając się. Cameron usiadł wygodnie. O jakich deficytach mówił radca? Oczywiście chodziło o jakąś podgrupę powypadkowych, ale to określenie nie należało do znanej mu terminologii medycznej. Prawdopodobnie jakiś skrót żargonowy. Radca był tak długo powiązany z powypadkowymi, że pewnie myślał, iż każdy lekarz powinien go rozumieć.

Deficytenci – zastanawiał się Cameron. Jeśli ten termin potraktować ściśle, powinien określać tylko jedną rzecz. Dowie się tego, gdy dotrze do niego raport radcy. Gdyby coś było niejasne, to zawsze zdąży zapytać.

Podniósł się z trudem – wyraźnie ważył teraz więcej. To nie jest reakcja psychologiczna, uświadomił sobie. Powinien sprawdzić skąd ten nagły wzrost grawitacji.

W pewien sposób powypadkowi byli żalosną zbieraniną istot udających ludzi, częściowych organizmów będących

w połowie albo i nawet tylko w jednej czwartej mężczyznami i kobietami. Ich złudzenia były bardziej niezniszczalne niż to, co pozostało z ich ciał, a te ciała były niewiarygodnie wytrwałe. W dużej mierze była to wina medycyny. Techniki były zbyt dobre, albo zbyt niedobre, w zależności od punktu widzenia – lekarza czy pacjenta.

Zbyt dobre, gdyż najbardziej poharatane osoby, jeśli tylko zostały znalezione żywe, utrzymywano przy życiu. Zbyt niedobre, gdyż pewien procent okaleczonych nie mógł wrócić do społeczeństwa w całości i całkowicie zdrowy. Cud wyleczenia był niekompletny.

Wśród ludzi nie zdarzało się zbyt wiele okaleczeń powyżej możliwości wyleczenia, niemniej chociaż szczegóły były różne pod każdym względem, rezultaty okazywały się monotonnie takie same. W przeważającej większości przypadków choroby zostawały wyeliminowane. Wszyscy ludzie byli zdrowi – z wyjątkiem tych, którzy ulegli wypadkom i nie mogli być zoperowani i zrekonstruowani zgodnie ze standardami urody obowiązującymi w całej populacji. Tych nielicznych zsyłano na asteroidę.

Nie byli z tego zadowoleni. Nie byli zadowoleni z tego, że skazuje się ich na pobyt w „Niebie Niepełnosprawnych”. A że byli wrażliwi, wracać również nie chcieli. Zdawali sobie sprawę z tego, że podskakując i czołgając się, w tłumie pięknych kobiet i mężczyzn zaludniających planetę będą się wyróżniać. Powypadkowi wcale nie chcieli wracać na Ziemię.

To czego pragnęli było śmieszne. Mówili o tym, mieli nadzieję, a w końcu przedłożyli to w formie prośby. Zażądali rakiety, by polecieć w daleką, trudną podróż do Alfy i Proximy Centaura. Ludzkość była uwięziona w układzie planetarnym

i nie miała możliwości dotarcia nawet do najbliższych gwiazd. Powypadkowi uważali natomiast, że uda im się przełamać tę barierę. Niektórzy z nich by polecieeli, a reszta by pozostała, może bardziej samotna, ale przekonana, że ma udział w ryzykownym przedsięwzięciu.

To była szczególnie niekontrolowana forma samooszukiwania się. Byli okaleczeni; byli ludźmi bez twarzy, którą mogliby uważać za własną; ludźmi, których sprawy sercowe kojarzono z maszyną pompującą krew, ludźmi bez kończyn czy innych organów – inwalidami wszelakiego rodzaju. Kategorie kalectwa były niezliczone. Nie było dwóch takich samych powypadkowych.

Samooszukiwanie się było tym gorsze, że powypadkowi mieli do tego kwalifikacje. Spośród miliardów obywateli Układu Słonecznego tylko oni mogli się wybrać w taką długą podróż i powrócić. Eliminowały ich jednak inne czynniki. Dyskusja z nimi o tym pierwszym była niebezpieczna, gdyż wtedy musiałby zostać wyjawiony ten inny powód. Cameron nie miał skłonności sadystycznych, a nikt inny nie był zainteresowany, żeby im to powiedzieć.

Przypisy tłumacza.

1. [↑](#)*Joseph Banks Rhine (1895-1980)* — amerykański parapsycholog.
2. [↑](#)*Helen Adams Keller (1880-1968)* — amerykańska pisarka, pedagog i działaczka społeczna. Głuchoniema i niewidoma od niemowlęctwa, zdobyła wykształcenie i stała się

autorytetem w zakresie wychowania dzieci niepełnosprawnych.

2

Docchi siadł na brzegu stawu. Byłoby przyjemnie, gdyby mógł zapomnieć, gdzie jest. Krajobraz był sielski, choć nie całkiem taki jak na Ziemi. Horyzont był zbyt blisko, a niebo płytkie i tylko z pozoru jasne. Na zewnątrz czaiła się ciemność.

Niewielkie drzewo rzucało cień. Fale chlapały o brzeg, wydając bulgoczące dźwięki. W cieczy jednak nie było ryb ani jakiegokolwiek życia roślinnego. Tylko z pozoru wyglądająca

na wodę ciecz wodą nie była – staw był wypełniony kwasem. A w kwasie, całkiem zanurzony, pływał jakiś kształt. Dokumenty medyczne twierdziły, że to jest kobieta.

— Nie zgodzili się — oznajmił z goryczą Docchi.

— A czego się spodziewałeś? — zadudniło stworzenie ze stawu. Towarzyszące temu bryzgi kwasu rozbiegły się po powierzchni.

— Nie tego.

— Zupełnie nie znasz Rady Medycznej.

— Chyba nie znam. — Docchi wpatrywał się ponuro w ciecz. Była lekko zabarwiona błękitem. — Chyba nie brali pod uwagę możliwości, że będą jakieś prośby i wcale tego nie czytali.

— Powoli się uczysz. Poczekaj, aż spędzisz tu tyle czasu, co ja.

Docchi, przygnębiony, kopnął cherławą kępę trawy. Rośliny kiepsko tu się czuły. One również były wyrzutkami; rosły



z dala od słońca i pozbawione gleby, na której wyewoluowa-

ły. Tutejsze środowisko zostało wytworzone sztucznie.

— Czemu nas tak potraktowali? — zastanawiał się Docchi.

— Sam sobie na to odpowiedz. Zwróć uwagę, czym jest Rada Medyczna. Dla nich ważne są całkiem inne rzeczy. Najistotniejsze jest jednak to, że my nie musimy brać z nich przykładu. Nie musimy być irracjonalni, nawet jeśli oni tacy są.

— Chciałbym teraz wiedzieć, co dalej? Dla nas to bardzo ważne.

— Czekać. Możemy przeczekać ich niechęć — powiedziała Anti, powoli krążąc wokół stawu. Nie miała innych możliwości ruchu. Większa część jej masy znajdowała się pod powierzchnią.

— Cameron też sugerował, żeby poczekać — powiedział Docchi, a po namyśle dodał: — Ma rację, jesteśmy biokompensatorami.

— Zawsze wyciągają biokompensację — mruknęła Anti z niecierpliwością. — Mam już dość tej wymówki. Czas płynie tak wolno.

— No to co robić? Napisać kolejną prośbę?

— Memorandum numer dziesięć? Nie bądź naiwny. Po przesłaniu do Rady Medycznej sprawy znikają. Ich kartoteki są w strasznym stanie.

— Znikają albo są przeinaczane — parsknął ze złością Docchi. Trawa, którą kopał, zaczęła marnieć. Nie była zbyt wytrzymała w tym środowisku. Niewiele rzeczy było.

— Może powinniśmy dać Radzie Medycznej odpocząć. Jestem pewny, że woleliby już więcej o nas nie słyszeć.

Docchi przysunął się bliżej stawu.

— Uważasz, że powinniśmy ruszyć plan, o którym rozmawialiśmy przed wysłaniem prośby? Dobrze. Zwołam wszystkich i powiem, co się stało. Zgodzą się, że powinniśmy to zrobić.

— To po co ich zwoływać? Będzie tylko więcej gadania. Poza tym nie widzę powodu, dla którego powinniśmy ostrzegać Camerona.

— Myślisz, że ktoś mu donosi? — Docchi spojrzał zmartwiony. — Jestem pewien, że wszyscy czują to, co ja.

— Nie wszyscy. Niektórzy mają inne zdanie — powiedziała spokojnie Anti. — Ale nie miałam na myśli ludzi.

— Och, to — powiedział Docchi. — To źródło możemy zawsze zablokować, gdy tylko będziemy chcieli. — Poczul ulgę, słysząc, że może ufać powypadkowym. Jednomyślność była ważna i niektóre z powodów nie były oczywiste.

— Może tak, a może nie — powiedziała Anti. — Ale czemu to utrudniać, marnować czas?

Docchi podniósł się niezgrabnie, ale jak już wstał, to nie sprawiał więcej wrażenia niezdary.

— Zawołam Jordana. Będę potrzebował rąk.

— To zależy, co zamierzasz — powiedziała Anti.

— I to i to — powiedział Docchi, uśmiechając się. — Jesteśmy śmiertelnie niebezpieczni.

— Zobaczymy się, gdy będziesz wyruszał w daleką drogę do Centaura — zawołała, gdy odchodził.

— Wcześniej, Anti. Znacznie wcześniej.

Gwiazdy zaczęły migotać. Wraz ze zmierzchem pojawiły się cienie i szkielet konstrukcji podtrzymującej w górze przezroczystą kopułę. Wkrótce powolna kontrolowana rotacja wprowadzi tę stronę asteroidy w niemal absolutną ciemność.

Słońce z tej odległości było niewielkie, niemniej dawało namiastkę znajomej ziemskiej scenerii. Ale niezadługo zniknie.

*

Cameron odchylił się do tyłu i spojrzał z zaciekawieniem na Vogela, inżyniera grawitacji.

— Jestem bardzo zajęty, staram się, żeby wszystko dobrze działało. Ale mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, iż nie mogłem szczegółowo omówić z panem pańskich zadań — powiedział, obserwując go uważnie. Inżynier mógł okazać się znacząco pomocny. Nie było żadnego powodu, aby tak się nie stało, ale każdy, kto z własnej woli pozostawał na asteroidzie tak długo jak Vogel, był niepewny i Cameron nie ufał mu. Dziwny był ten człowiek.

— Nie, co mi tam — powiedział Vogel. — Dyrektorzy medyczni przychodzą i odchodzą. Ja zostaję. To łatwiejsze niż szukanie innej pracy.

— Wiem. Do tej pory powinien pan już znać to miejsce całkiem dobrze. Czasem sobie myślę, że gdyby pan był na moim miejscu, to byłoby dwa razy mniej kłopotów.

— Medycyna w ogóle mnie nie interesuje i nigdy nie próbowałem się w niczym orientować — burknął Vogel. — Staram się, by mój sprzęt działał i to wszystko. Nie wtrącam się nikomu do niczego i nikt się tu nie kręci i nie próbuje zaprzyjaźniać ze mną.

Cameron był tego pewien. To oświadczenie pasowało do osobowości tamtego – nie odczuwał potrzeby bratania się z kimkolwiek.

— Jest kilka rzeczy, które mnie frapują — zaczął. — Dlatego wezwałem tu pana. Zwykle utrzymujemy ciężenie na poziomie połowy ziemskiej grawitacji. Mam rację?

Technik kiwnął głową i burknął na potwierdzenie.

— Nie jestem pewien dlaczego połowa. Pewnie ze względu na kalekie ciała powypadkowych. Ale może są również jakieś względy ekonomiczne. Jest to, co prawda, bez znaczenia tak długo, jak długo mamy te pół *g*.

— Chce pan wiedzieć, czemu tyle?

— Jeśli pan da radę mi to wytłumaczyć, nie wchodząc zbyt głęboko w sprawy techniczne, to tak. Czuję, że powinienem dowiedzieć się wszystkiego o tym miejscu.

Technik odprężył się, wyraźnie rozbawiony.

— Nie ma tu żadnych ograniczeń, poza samymi modułami grawitacyjnymi — powiedział Vogel. — Teoretycznie możemy bez problemu ustawić ile chcemy, w praktyce przyjmujemy wartość pomiędzy jedną czwartą a pełnym ziemskim ciężeniem.

— I nie ma pan nad tym kontroli? — To przeczyło wszystkiemu, co słyszał. Wiadomo mu było, że generatory grawitacji były produktem wzbudzającej podziw dziedziny nauki. Było niepojęte, że mogły być w tak przypadkowy sposób sterowane.

— Jasne, że mamy kontrolę — odpowiedział, śmiejąc się, technik. — Możemy włączać i wyłączać. Nie jest dobrze, jeśli grawitacja się zmienia. Ale lepsze fluktuacje niż nic.

Cameron zmarszczył brwi. Albo ten człowiek wiedział, co robi, albo nie powinno go tu być. Jego stanowisko było tylko trochę mniej ważne od stanowiska dyrektora medycznego. A tam, gdzie to było istotne, Rada Medyczna nie tolerowałaby niekompetencji. A przecież...

— Te generatory były zaprojektowane specjalnie dla asteroidy. Są jakieś tajemnicze medyczne powody, dla których

powypadkowym jest łatwiej przy mniejszej grawitacji i niewielkich zmianach. Ja tam nie wiem. Pewnie konstruktorzy nie mogli sobie z tym poradzić i wygrzebali ten powód później.

Cameron stłumił irytację. Potrzebował informacji, a nie jakichś osobistych wrażeń. Na Ziemi powiedziano mu, że to jest dla dobra powypadkowych. Wstrzymał się wówczas z osądem i nie widział powodu, dla którego nie miałby postąpić tak samo teraz.

— Wszystkie nauki stosowane starają się znaleźć jakiś powód, dla którego nie potrafią czegoś zrobić. Jestem przekonany, że medycyna nie jest tu wyjątkiem. — Urwał, zastanawiając się. — Rozumiem, że mamy tutaj, na asteroidzie, trzy oddzielne generatory. Jeden pracuje przez czterdzieści pięć minut, podczas gdy dwa pozostałe są bezczynne. Gdy ten pierwszy się wyłącza, inny go zastępuje. Zmiany powinny być zsynchronizowane. Nie muszę chyba panu mówić, że nie są. Poczul pan jakiś czas temu ten nagły wzrost wagi. Ja poczułem. Co się stało?

— Nic złego — odparł uspokajająco technik. — To są zakłócenia w działaniu jednego z generatorów. Gdy pierwszy generator ma się wyłączyć i tego nie robi, następuje wzrost ciężenia. Dodaje się do tego drugiego i tyle.

— I to jest prawidłowe działanie? Nakładanie się w taki sposób, że mamy przez jakiś czas ciężenie ziemskie lub nawet półtora?

— Lepiej tak, niż wcale — oświadczył dumnie Vogel. — Zanim się tu pojawiłem zdarzało się całkiem często. Może pan zapytać każdego z tych, co tu są od dawna. Udało mi się jednak to opanować.

— Co pan zrobił? — zapytał podejrzliwie Cameron. Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

— Nic — odpowiedział z zakłopotaniem technik. — Nic mi nie przychodzi do głowy. Te maszyny chyba się do mnie przyzwyczyły.

Niektórzy ludzie mają tendencję do antropomorfizowania wszystkiego, z czym mają do czynienia i Vogel był jednym z nich. Nie miało znaczenia, że mówił o niezdolnych do odczuwania czegokolwiek maszynach. Idąc dalej, obdarzyłby je osobowością.

— I to jest wszystko, co może pan powiedzieć na temat zmian grawitacji, a czasami jej braku?

— One nie powinny działać w ten sposób, ale wcześniej nikt nie potrafił ustawić ich lepiej niż teraz — próbował tłumaczyć się Vogel. — Jak pan chce, może pan sprawdzić w fabryce, która je wyprodukowała.

— Nie próbuję podważać pana wiedzy i nie boję się wyjść na głupka. Chcę się tylko upewnić, że niczego nie przeoczyłem. Widzi pan, wydaje mi się, że istnieje możliwość sabotażu.

Uśmiech technika stał się odrobinę szerszy, niż tego wymagało to oświadczenie.

Cameron obrócił krzesło i pochylił się nad biurkiem.

— No dobrze — powiedział zmęczonym głosem — niech pan mi powie, czemu pomysł sabotażu jest taki zabawny.

— Bo to musiałyby być ktoś stąd — stwierdził technik. — Nie sądzę, by chciał, żeby ciężenie podskoczyło do dziewięciu g , a tyle by mogło. Nie ruszałby tego. Ale jest też lepszy powód. Wie pan, jak są zbudowane te moduły grawitacyjne?

— Nie znam szczegółów.

Generator grawitacji nie był oddzielnym urządzeniem. Składał się z trzech części. Pierwszą z nich było źródło energii – każde, byle wystarczająco wydajne. Podstawowym źródłem energii na asteroidzie był stos atomowy, umieszczony głęboko w jej jądrze. „Niebo Niepełnosprawnych” musiałyby zostać rozebrane na kawałki, kamień po kamieniu, żeby się do niego dostać.

Drugą częścią były uzwojenia, które wytwarzały i kształtowały pole grawitacyjne. Były proste i niemal niemożliwe do uszkodzenia. Mogły zostać zniszczone, ale nie mogły zostać przerobione i wciąż wytwarzać pole.

Trzecią częścią był sterownik, rzeczywiste serce systemu generującego grawitację. W każdej mikrosekundzie obliczał zależność między energią dostarczaną do uzwojeń i wytwarzanym polem. Te wyliczone wartości wykorzystywał do ustalenia poziomu energii niezbędnego w następnej mikrosekundzie do utrzymania siły grawitacji na stałym poziomie. Jeśli moc nie zmieniała się, pole zanikało. Sterownik był więc komputerem, najlepszym jakie produkowano, dokładnym i szybkim nie do uwierzenia.

— Teraz chyba rozumie pan, dlaczego on nie zawsze zachowuje się tak, jak chcemy — technik poskrobał się po brodzie i spojrzął pytająco na Camerona, oczekując odpowiedzi.

— Obawiam się, że nie — odpowiedział lekarz.

— Gdyby chodziło o któregoś z pana pacjentów, to by pan zrozumiał — powiedział Vogel. — To zmęczenie. Sterownik jest skomplikowanym komputerem i męczy się. Musi odpoczywać półtorej godziny, by mógł pracować przez czterdzieści pięć minut. Nie może pracować cały czas, jak inne deli-

katne maszyny. Musi zostać wyłączony, żeby wyzerować obwody.

Oczywiście nikt nie powinien przy nim grzebać. Jest uszczelniony i nierozbieralny. Gdyby otworzyć obudowę, wszystko się rozleci. Najpierw jednak musiałyby pan otworzyć go. Wiem, że to jest możliwe, ale nie bez mnóstwa wysokiej mocy urządzeń, które bym wykrył, gdyby się znajdowały gdzieś na asteroidzie.

Pomimo stanowiska technika, nie wydawało się to w pełni niezawodne. Niemniej Cameron musiał przyznać, że najprawdopodobniej żaden z powypadkowych nic tu nie mógł zrobić.

— Zostawmy więc grawitację — powiedział. — Następna sprawa, to broń. Jaka broń może być tutaj dostępna?

— Żadna. Nawet noże. Może jakiś łom czy pręt z metalu. — Vogel podrapał się po głowie. — Chociaż jest coś, co mogłoby być niebezpieczne. Nie wiem, czy zaliczyłby pan to do broni.

Cameron natychmiast się zaniepokoił.

— Jeśli to jest niebezpieczne, to czy może ktoś wiedzieć, jak to użyć. Co to jest?

— Sama asteroida. Fizycznie nikt nie może dotknąć jakiegokolwiek części systemu grawitacji. Ale często zastanawiałem się, czy nie da się wcisnąć jakiegoś impulsu w komputer. Gdyby to się udało, to można by zmienić kierunek pola — głos Vogla spoważniał. — Ktoś mógłby przechwycić „Niebo Niepełnosprawnych” i rzucić je tam, gdzie by chciał. Powiedzmy w Ziemię. Trzydzieści mil średnicy to wielki kawał skały.

Tego rodzaju informacji Cameron poszukiwał, chociaż technik wydawał się traktować to wyłącznie jako mocno nie na czasie rozmowę towarzyską.

— Na ile jest to możliwe?

— Nie chciałem pana przestraszyć — uśmiechnął się Vogel — ale sam zacząłem się pocić. Wygląda tak źle, że powinienem się tym zająć.

— Da się to zrobić czy nie? — zażądał odpowiedzi lekarz.

— No cóż. Jest to zbyt poważna sprawa, żeby ryzykować. Są systemy monitorujące. Wszędzie, na księżycach Jowisza, na Marsie, Ziemi, Wenus. Ten czy tamten komputer grawitacyjny dostanie obłądu, monitory przechwycą go. Jeśli to się nie uda, prześlą sygnał głośzący i zawieszą go. Nie ruszy się, dopóki monitory na to nie pozwolą.

Cameron już zastanawiał się nad czym innym. Vogel był gadatliwy i zachęcany mógłby tak mówić do rana. Nie chodziło o to, czy posiadał wiedzę, tylko że nie potrafił odróżnić, co jest ważne.

— Nawet nie wie pan, jak bardzo mi pan pomógł — powiedział lekarz, wstając. — Musimy jeszcze kiedyś porozmawiać.

Obserwował technika, jak wychodzi, by udać się do komory generatorów pod powierzchnią asteroidy. Dzień zaczął się kiepsko i nie zanosilo się, żeby później miało być lepiej. Docchi, potem Thorton, potem Vogel. Wszystkie odcienie krótkowzroczności, rekonwalescent, przełożony, a na koniec technik nie chcący spojrzeć poza swoje instrumenty. Postęp był niewielki, ale gdzieś tam krzywa powinna skierować się ku górze.

Praca na „Niebie Niepełnosprawnych” nie była zbyt przyjemna, ale miała swoje zalety. Awans był proporcjonalny do nieznośności tego miejsca. Po niańczeniu powypadkowych przez rok każde inne zadanie to pestka. Pozostało mu jeszcze dziesięć miesięcy do całego roku i jeśli przetrwa bez żadnych wpadek administracyjnych, to ustawi się w kolejce do czegoś lepszego, zdecydowanie lepszego. Czegoś, co Rada Medyczna przydziela młodym obiecującym lekarzom.

Cameron kliknął telekom.

— Połącz mnie z kopolą portu. Daj mi pilota.

— Nie odbiera — odpowiedź automatu nie była zachęcająca. — Przykro mi. Zawiadomię pana, gdy się pojawi.

— Poszukaj go — rzucił Cameron. — Jeśli nie jest gdzieś w pobliżu raket, to będzie w głównej kopule. Nie interesuje mnie, jak to zrobisz. Znajdź go.

— Nie ma zapisu, że pilot opuścił kopolę portu — usłyszał zagadkową odpowiedź po kilku sekundach ciszy.

Serce mu podskoczyło, a oddech zamarł.

— Przeskanuj cały obszar. Przeszukaj każde miejsce, nawet jeśli sądzisz, że nie może go tam być. Muszę rozmawiać z pilotem.

— Skanowanie jest niemożliwe. System jest wyłączony na tym obszarze. Sprawdzam dlaczego.

Było źle. Czuł jak napinają mu się mięśnie, o których nawet nie wiedział, że je ma.

— W porządku. Poślij roboty naprawcze.

Zrobią to – zawsze wykonywały swoje zadania. Tyle że były nieznośnie powolne, a właśnie teraz potrzebny był pośpiech.

— Mobilne jednostki naprawcze zostały wysłane natychmiast, gdy tylko skanowanie przestało działać. Czy to jest nagły wypadek? Jeśli tak, zaalarmuję załogę.

Zastanawiał się. Potrzebował pomocy, mnóstwo pomocy. Ale czy mógł na kimś polegać? Na Voglu? Najprawdopodobniej będzie gotów do działania. Ale gdy go wezwie, generatory grawitacji pozostaną bez opieki. I jeśli powie technikowi, co podejrzewa, Vogel mógłby chcieć wziąć w tym udział, a był zbyt potrzebny tam, gdzie jest.

Kto jeszcze? Skwaszona pielęgniarka w średnim wieku, która zgłosiła się do tej pracy, bo chciała mieć prawo do wcześniejszej emerytury? Przesypiała większość swoich dyżurów i biorąc pod uwagę jej wydajność pracy, być może to było najlepsze, co mogła robić. Albo uroczą młodą praktykantką – zgodnie z dyplomem ukończyła wykształcenie, ale czy da się oszukać lekarza – która odważnie zgłosiła się na ochotnika, bo ktoś powinien pomagać biednym nieszczęśliwym mężczyznom? Ani słowa już oczywiście o kobietach. Zawsze przychodziła, gdy Cameron badał pacjenta, mężczyznę, ale miała żałosny zwyczaj mdleć na widok krwi. Omdlenia były dla niej zbyt pospolite, tak samo jak zawód, który wybrała, co wytknął jej kiedyś Cameron.

To byli ludzie, których mógł zaalarmować. Lepiej już polegać na robotach. Nie były szczególnie pomocne, ale przynajmniej nie wpadną w histerię. No i oczywiście był jeszcze pilot, ale nie można było go znaleźć.

W tym przeklętym miejscu było zbyt mało personelu. Nikt nie chciał tu pracować oprócz tych, którzy byli nieco psychotyczni albo nieudolni i leniwi. Z jednym wyjątkiem. Ambitni młodzi lekarze często prosili o to stanowisko. Cameron

zbeształ się w myślach. Ambicja nie leżała daleko od psychozy, a często była również przyczyną zła. Jeśli tutaj wydarzy się coś poważnego, początkiem i końcem jego kariery będzie opatrywanie skaleczeń na placu zabaw dla dzieci.

— Nie, to nie jest nagły wypadek — powiedział. — Niemniej przekaż wiadomość do grawitacji, dla Vogla. Powiedz mu, żeby uruchomił swoje systemy alarmowe. Nie chcę, by ktokolwiek zbliżał się do tego miejsca.

— To wszystko?

— Wyślij sześć ropów. Spotkam się z nimi przy wejściu do kopuły portowej.

— Są tam już roboty naprawcze. Może wystarczą?

— Nie wystarczą. Potrzebuję roboty ogólnego przeznaczenia. Wyślij najnowsze i najcięższe modele, jakie mamy.

Nie były zbyt bystre, ale silne i szybkie. Kliknął, by zamknąć telekom. Czego się obawiał? W dużej mierze była to tylko zgraja nędznych okaleczonych ludzi. Gdyby nie to, że martwił się o przyszłość, byłoby mu ich żal.

Docchi czekał nieopodal kopuły portu. Nie ukrywał się, niemniej starał się nie rzucać w oczy wśród starannie pielęgnowanych zarośli. Roślinom nie udawało się stwarzać iluzji ziemskiego krajobrazu – częściowo dlatego, że niektóre pochodziły z Wenus albo z Marsa – ale przynajmniej dodawały tlenu do atmosfery asteroidy.

— Dobra robota — pochwalił. — Wiedziałem, że Nona potrafi.

Jordan czuł, jak się rozluźnia, obserwując wydarzenia.

— Cud mechaniki — zgodził się. — Ale możemy o tym pogadać później. Powinieneś już iść.

Docchi rozejrzał się dookoła, po czym ruszył śmiało przejściem łączącym główną kopułę z przyległą, znacznie mniejszą kopułą portu raketowego. Normalnie w zamieszkałych obszarach asteroidy nigdy nie było całkiem ciemno, kontrolowany półmrok uważany był za bardziej sprzyjający drzemce podczas ciężkiej choroby. Dobrotliwa teoria Rady Medycznej mówiła, że nieco światła odpędza złe sny. To, co zastali pod kopułą portu, nie było w żadnej mierze półmrokiem. Odpowiadało to w pełni ciemnościom przestrzeni międzygwiazdnej.

Docchi zatrzymał się przed służą bezpieczeństwa wyglądającą okropnie solidnie.

— No, miejmy nadzieję... — powiedział. — Bo jeśli Nona nie zdołała jej wyłączyć z systemu, możemy dać sobie spokój.

— Wydawała się wszystko rozumieć, nie uważasz? Czego jeszcze byś chciał?

Jordan wyminął go i sięgnął ręką. Wielka płyta lekko przesunęła się na prowadnicach. Przejście było otwarte.

— Kłopot z tobą jest taki, że brakuje ci zaufania, do siebie i do talentu.

Docchi nie odpowiedział. Nasłuchiwał usilnie, starając się zinterpretować słabe odgłosy dochodzące z przodu.

— Okej, słyszę to — szepnął Jordan. — Wejdźmy, zanim się zbliży.

Docchi ostrożnie, starając się wyczuć drogę, wszedł w ciemność kopuły portu. Gdyby się zachwiał i upadł, nigdy nie zdołałby wstać w porę. Spróbował wzbudzić luminescencję na twarzy. Był w stanie w pewnym stopniu kontrolować swój zmieniony metabolizm, a teraz nadeszła chwila, gdy tego potrzebował.

Denerwował się i to szkodziło jego sprawności. Nie miał pewności, czy blask jest na tyle jasny, żeby go można było zauważyć, ale nie na tyle, żeby wyraz twarzy był rozpoznawalny. Zapytałby Jordana, ale ten był w miejscu, z którego nie mógł nic zobaczyć.

Kroki zbliżyły się, a wraz z nimi przekleństwo, obszerne w słowach, ale raczej skromne w swym imaginacyjnym symbolizmie. Docchi rozświetlił twarz tak jasno, jak tylko mógł, po czym natychmiast zmniejszył intensywność.

Kroki ucichły.

— Docchi?

— Nie. To tylko mała samotna żarówka na wieczornym spacerze.

Śmiech pilota pojazdów raketowych nie całkiem zabrzmiał przyjaźnie.

— Jasne, że to ty. Poznałbym cię nawet na dnie morza. Pytałem, co tu robisz?

— Zobaczyłem, że zgasło światło w kopule portowej. Śluza wejściowa była otwarta, więc wszedłem. Pomyślałem sobie, że mogę w czymś pomóc.

— Światła zgasły całkowicie. Wszystkie. Nawet rezerwowe. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się, że nawet ręczne reflektory nie działają. — Pilot podszedł bliżej. W reku trzymał mały morderczy miotacz. — Dzięki, ale nie możesz nic pomóc. Lepiej idź stąd. Regulamin zabrania pacjentom tu wchodzić. Mógłbyś ukraść raketę, albo co.

— Co się stało? — Docchi zignorował broń. — Uderzył szybki meteor?

— Byłoby słychać — burknął pilot.

— I nic nie słyszałeś.

— Nic. — Pilot wpatrywał się intensywnie w ledwo widoczną sylwetkę Docchiego. — No cóż, widzę, że robisz się ostatnio zgrabniejszy. Powinieneś tak zawsze... nosić swoje ręce. Wyglądasz w ten sposób lepiej, nawet jeśli nie możesz ich używać. Dwa razy lepiej, prawie... — głos mu się załamał.

— Prawie jak człowiek? — zapytał uprzejmym tonem Docchi. — Nie jak, powiedzmy, para nóg z bardzo dobrym, chociaż trochę zużytym kręgosłupem i świecąca głową robala na górze? Nie to miałeś na myśli?

— Ja tego nie powiedziałem. Przywykłem do ciebie. Nic nie poradzę, że jesteś przewrażliwiony. Choć nie uważam, że to twoja wina. — Podniósł głos. — W każdym razie, jak już powiedziałem, idź stąd. To nie jest miejsce dla ciebie.

— A ja nie chcę stąd pójść — powiedział Docchi. — Nie boję się ciemności. A ty? Szukam jakiegoś kąta, by go oświetlić. Mogę wnieść nieco światła w twoje życie?

— Docchi, mam zameldować o tej obłąkanej rozmowie. Niech mnie szlag, jeśli tego nie zrobię. Osobiście zawsze cię podejrzewałem. Wynoś się stąd, zanim chwycę cię za tę fałszywą rękę i wyrzucę.

— Teraz uraziłeś moje uczucia — powiedział z wyrzutem Docchi i zwinnie wycofał się.

— Nie mów tylko, że nie chciałeś mnie zdenerwować — warknął pilot, rzucając się za nim. To, co chwycił, nie było imitacją ręki, delikatnie ukształtowanej i pomalowanej na kolor skóry. Ręka, którą chwycił była prawdziwa, a jej mięśnie były nie gorsze niż jego. Zaskoczenie było takie, że aż krzyknął.

Docchi złożył się wpół i ciemna figura na jego grzbiecie wysunęła się zza jego głowy jak nóż z pochwy. Pilot został uniesiony i rzucony na podłogę.

— Jordan — wykrztusił.

— Tak, to ja — powiedział Jordan. Objął ręką gardło pilota i ścisnął. Drugą ręką wymacał trzymany przez niego miotacz, którego tamten nie zdążył użyć. Bez wysiłku wydarł mu go i uderzył kolbą, pozbawiając przytomności. W ostatniej chwili osłabił uderzenie, powstrzymując się od zmiżdżenia mu czaszki. Docchi bezskutecznie gotował się, by kopnąć przeciwnika, ale cała akcja była zbyt szybka, a on przecież nie miał rąk.

Pomoc nie była potrzebna Jordanowi.

— Poświeć mi — zażądał, gdy już skończył, a Docchi pojaśniał słabym, migotliwym światłem.

Jordan balansował na rękach. Miał silną głowę i masywne potężne barki oraz ramiona. Jego ciało kończyło się poniżej klatki piersiowej; niżej nie było już niczego. Obłą metalowa kapsuła okrywała jego organy trawienne. Powypadkowi byli rzeczywiście zbudowani z fragmentów. Jordanowi brakowało jednego końca. Niemniej to, co pozostało, nadrabiało za resztę.

— Nie żyje? — Docchi spojrział na pilota.

Jordan kiwnął się w przód i posłuchał serca pilota.

— Żyje — powiedział. — Chciałem rąbnąć go jeszcze raz, ale uświadomiłem sobie, że nie możemy nikogo zabić.

— Widzę — powiedział Docchi. Stłumił okrzyk; coś owinęło mu się wokół nogi. Skoczył do przodu wyrywając się.

— Robot naprawczy — zachichotał Jordan. — Jest tu ich jak pluskiew.

Docchi zamrugał zmieszany, a robot podtoczył się niezgrabnie ku niemu.

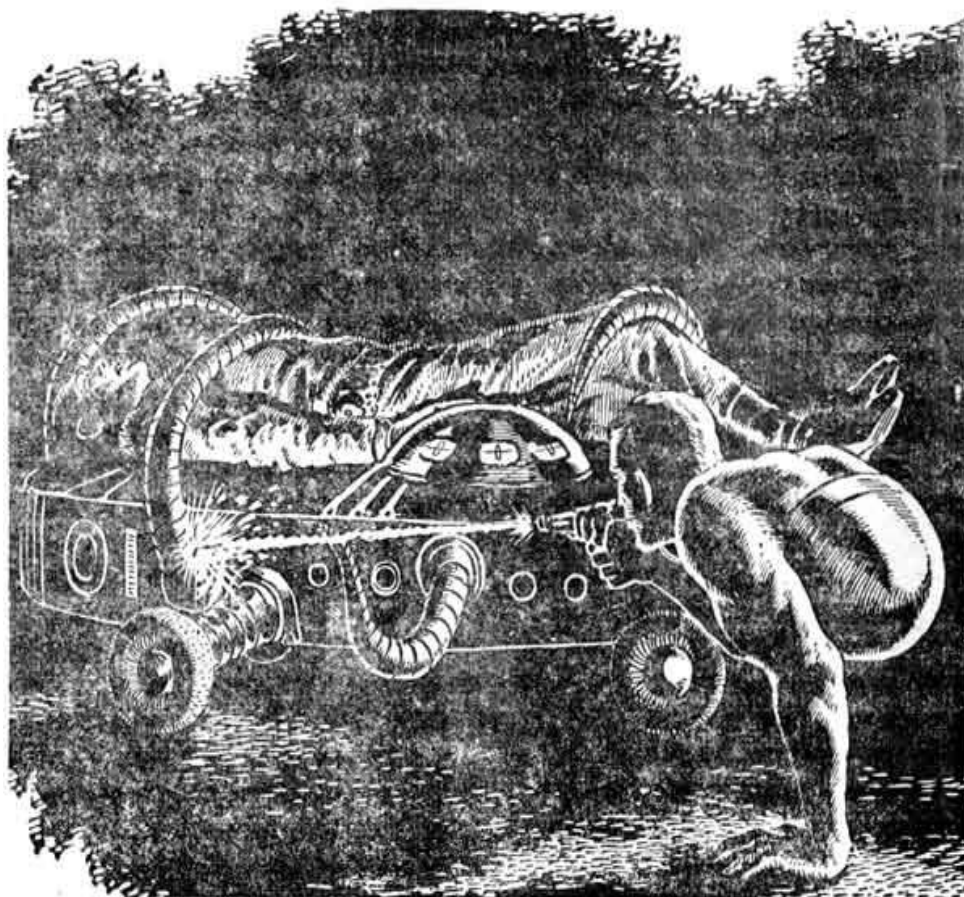
— Przyjacielska kreatura — skomentował Jordan. — On chyba chce pomajstrować przy twoim systemie oświetleniowym.

Docchi strząsnął karłowatą maszynę, która dotknęła jego skóry i zabręczała do siebie w zagadkowy sposób. Ta naprawa przekraczała jej umiejętności, a mimo to nie rezygnowała.

— Co z nim zrobimy? — zapytał, patrząc na pilota.

— Wymaga uwagi — powiedział Jordan — ale nie takiej, jaką ja mu mogę zapewnić.

Wyciągnął rękę i wypalił miotaczem małą dziurę w potworku na kółkach. Z boku maszyny wychynął manipulator i ostrożnie obmacał uszkodzony obszar. Po chwili schował się z powrotem, po czym znów pojawił z małym palnikiem. Urządzenie zabrało się do spawania dziury.



Tymczasem Jordan przyciągnął do siebie nieprzytomnego mężczyznę, oparł się o maszynę i podniósł bezwładne ciało ponad głowę, po czym położył łagodnie na płaskiej powierzchni robota. Reakcja była natychmiastowa. Pojawił się drugi manipulator, by zbadać ciało. Jordan zaspawał mu przeguby na stałe. Powtarzał to trzy razy, zanim pilot został bezpiecznie przymocowany do robota.

— Trochę potrwa, zanim się wylize — powiedział Jordan — będzie się tak reperował, dopóki się kompletnie nie naprawi. Szczęśliwie potrafię sobie z tym poradzić. — Ustawił niedostrzegalnie wąski promień miotacza i zręcznie przeciął skrzynkę kontrolną, usuwając okrągły fragment. Włożył dłoń

do wnętrza i rozerwał obwody. — Koniec z samo-naprawami — powiedział z zadowoleniem. — Docchi, musisz mi pomóc. Myślę, że dobrze by było posłać robota kilka razy wokół głównej kopuły, zanim dostarczy pilota do szpitala. Bez sensu ujawniać się, zanim będziemy gotowi.

Docchi pochylił się, by mu pomóc i, nie bez pewnych trudności, zaprogramowana została odpowiednia sekwencja. Robot stał bez ruchu, dopóki nowe, nie przewidziane komendy nie zostały wprowadzone do uszkodzonych, ale wciąż działających obwodów. W końcu zazgrzytał cicho i potoczył się chwiejnie do przodu.

— Włóż mi na barana — powiedział z zaciekleścią Docchi. — Musimy się spieszyć.

— Jesteś zmęczony — zaprotestował Jordan. — Pół g czy nie, nie możesz mnie dłużej nosić. Sięgnął szybko i uprząż utrzymująca go na plecach Docchiego spadła na podłogę. — Czekaj, słyszysz to? — warknął Jordan, gdy Docchi próbował wstać.

Docchi wyteżył słuch.

— Ropy — powiedział.

— No — potwierdził Jordan. — Ciekawe kogo szukają. Musisz szybko zasuwać, by dostać się do rakiety.

— A co ja tam zrobię? Sam? Nic. Musisz mi pomóc.

— Mam wleźć ci na plecy i żaden z nas ma się tam nie dostać? — powiedział Jordan. — Później coś wymyślisz. Ruszaj.

— Nie zostawię cię tutaj — zaprotestował Docchi.



Wielka łapa zacisnęła się na jego potylicy.

— Słuchaj! — rzekł gwałtownie Jordan. — Razem okazałiśmy się lepsi niż pilot, twoje nogi i moje ręce. Teraz musimy się rozdzielić, ale wciąż możemy udowodnić, że jesteśmy lepsi niż Cameron i jego ropy.

— My nie chcemy niczego udowadniać — powiedział Docchi. — To kwestia nagłej potrzeby. Pojawili się ludzie, którzy mogą polecieć do gwiazd i to od nas zależy, czy reszta ludzkości się o tym dowie.

W ciemności rozbłysło jasne światło i omiotło kopułę portu, ujawniając belki i słupy konstrukcji.

— Może ty osobiście nie próbujesz niczego dowieść — powiedział Jordan — ale ja tak. I reszta z nas również. No bo inaczej to dlaczego mielibyśmy nie pozwolić im karmić się łyżką i kołysać co noc do snu? — Podciągnął się niecierpliwie po podłodze w kierunku słupa.

— Możesz się za nim schować — powiedział Docchi.

— Nie za nim, ale na nim. Bez nóg moje miejsce jest tam. — Chwytał wielkimi dłońmi stalową belkę i korzystając z niskiej grawitacji wspiął się szybko.

— Bądź ostrożny — zawołał Docchi.

— A z czym ja muszę być ostrożny? — w dół ażurowej konstrukcji spłynęła odpowiedź Jordana. Nie było go już bezpośrednio w górze. Poruszał się szybko wzdłuż belek łączących słupy. Wtajemniczeni znajdowali w górze niespodziewaną drogę. Jordan miał ją teraz wyłącznie dla siebie; ropy nigdy go tam nie znajdą.

Głupio się było podniecać taką trywialną rzeczą. Jordan jeszcze tam nie dotarł i to co zrobi, gdy już tam będzie, było problematyczne. Ale dla niego to był dowód – tak, swego ro-

dzaju dowód. Ruszył szybciej, coraz szybciej, a w końcu pobiegł. Nie sądził, że to jest możliwe, ale dał radę zwiększyć dystans między sobą i ścigającymi go robotami.

Ale i tak nawet wtedy nie miał zbyt wiele czasu, by rozglądać się po dotarciu do rakiety. Pierwszy rzut oka na statek był zniechęcający. Śluzy, pasażerska i towarowa, były wciąż zamknięte. Nona albo nie zrozumiała w pełni poleceń, albo nie była w stanie ich wykonać. Prawdopodobnie to pierwsze. Bez żadnych narzędzi, tylko rękami, zepsuła obwody oświetlenia i kamer. Jej umiejętności obchodzenia się z maszynami, z których wcześniej nie zdawała sobie sprawy, były czasami niesamowite. Niemniej liczenie na to, że umożliwi im łatwe wejście do rakiety, byłoby przesadą.

Jego sprawą było, żeby tam wejść. Jeśli miał kiedykolwiek dostać się do rakiety, musiał to zrobić własnym wysiłkiem. Przez chwilę żałował, że nie ma miotacza zabranego pilotowi, ale porzucił tę myśl, zanim się sformułowała do końca. Miotaczem może by udało mu się roztopić wewnętrzne rygle wjazdu. Ta myśl ukazywała, jak jego umysł przeciwstawia się rzeczywistości – nie miał rąk i nie był w stanie posłużyć się miotaczem. Dobrze, że to Jordan wziął broń. Dla niego miała swoją wartość.

Docchi gorączkowo oglądał skomplikowaną instalację, próbując zorientować się w jej działaniu. Musiał być jakiś sposób otwierania pojazdu w przypadku, gdy wewnątrz nie było nikogo, jakieś urządzenie mogące wysłać impuls uruchamiający rygle. Gdyby udało mu się tego użyć, miałyby szczęście, ale szczęście się go nie trzymało.

Jeśli był tam jakiś zewnętrzny manipulator, nie udało mu się go znaleźć. Zbliżające się światła oznaczały, że jego szanse

maleją. To, że zostało mu jeszcze trochę czasu, było błędem Camerona. Ropy były zdolne do szybszego pościgu, ale miały polecenie, żeby dokładnie sprawdzać wszystko po drodze. Zrobił błąd i mógł zrobić kolejny.

Po dobiegających odgłosach, Docchi domyślił się, że Jordan jest wciąż na wolności, być może w pobliżu. Czy lekarz wiedział o tym? Chyba nie – wyraźnie nie doceniał powypadkowych.

Docchi zszedł do płytkiego zagłębienia w doku. To miejsce niespecjalnie nadawało się na kryjówkę. Ściany były gładkie, pokryte zielonkawą substancją, bez jakichkolwiek drzwi czy wnęk. Musiał jednak zbliżyć się bardziej do statku i to było najlepsze, co mógł osiągnąć. Oddalanie się od niego nic nie dawało – Cameron mógł ustawić roboty na straży wokół statku i nie byłoby mowy o przedostaniu się z powrotem. Musiał się ukryć gdzieś tutaj.

Oparł się o zespół dysz rufowych, czując metal twardo napierający na cienką warstwę ciała pokrywającą jego plecy. Minęły sekundy, zanim zorientował się, że dysze są rozwiązaniem. Odwrócił się, by się im przyjrzeć. Mały chłopiec mógł się wspinać do środka i wczołgać w niewidoczne miejsce. Dorosły mężczyzna bez rąk i ramion mógł się również wcisnąć w wąski cylinder.

Dostać się tam nie było łatwo. Schylił się i spróbował wsadzić głowę w niższą dyszę. Wił się i popychał nogami, dopóki nie wsunął się w nią prawie cały. Stopy miał wciąż na zewnątrz, więc zgiął nogi w kolanach, uzyskując lepsze podparcie i wcisnął się dalej. Nie przestawał, dopóki nie upewnił się, że nie zobaczy go nikt, kto nie zajrzy specjalnie do dyszy.

Czekał, nasłuchując. Ropy z hałasem zeszyły do doku. Brak innych dźwięków upewnił go, że są najprawdopodobniej kontrolowane przez radio. Roboty wspinały się wokół, przeszukując. Hałasy osłabły wkrótce, ale było oczywiste, że ropy nie mają zamiaru nigdzie pójść. Miały tu zostać i pilnować doku.

Docchi nie mógł wyjść. Został złapany w pułapkę. Zaczął zwalczać ogarniającą go klaustrofobię. Nie było tu się czego bać, ratunek (i pochwycenie) mógł sobie zapewnić, krzycząc. Roboty wyciągnęłyby go natychmiast.

Ale to nie była jedyna możliwość. Dysza rozszerzała się do przodu jak również i do tyłu. Wewnętrzny koniec kończył się komorą spalania otwieraną podczas usuwania nagaru. Statek nie był używany od miesięcy i istniało znaczne prawdopodobieństwo, że dysze będą otwarte z tamtej strony. Mógłby się tą drogą przedostać.

Wstrzymał oddech. Metal dobrze przewodził dźwięki, niemal wzmacniając je. W przerwie między oddechami usłyszał charakterystyczne skwierczenie, jakby się coś smażyło, dźwięk jaki wydawał promień miotacza, trafiając na metal. A potem zrobiło się głośno.

— Łapcie go — rozległ się krzyk Camerona. — Jest tam.

Pojawił się Jordan i udało mu się unieruchomić ropa. Cameron się przekona, że niełatwo go złapać. Dywersja nadeszła akurat, gdy Docchi jej potrzebował.

— Nie strzelać — polecił Cameron. — Światła na niego. Pogońcie go wyżej. Zagońcie w róg, wejdźcie na górę i złapcie.

Docchi nie miał racji; ropy były kontrolowane głosem, a nie przez radio. Sprawa byłaby prostsza, gdyby był na statku. Tylko czy da radę się tam dostać. Musi się pospieszyć. Jordan nie może ich zwodzić bez końca.

Docchi zaniechał ostrożności. Robot z doku przyłączył się do innych, zmniejszając obawę wykrycia. Za to przeciskanie stało się trudniejsze. Spodziewał się tego, ale nie sądził, że poruszanie się w coraz węższej dyszy będzie aż tak trudne.

To nic, że nogi mu się ślizgały, po trochu się posuwał do przodu. Krew szaleńczo w nim pulsowała, ale głowa wysunęła się w końcu z dyszy i zobaczył wnętrze statku.

Spojrzał tęsknie na pokrywę komory spalania kilka stóp przed sobą. Gdyby miał ręce, mógłby się jej chwycić i podciągnąć na zewnątrz. Gdyby jednak je miał, to nigdy by nie dotarł tak daleko. Zamknął oczy i przez chwilę odpoczywał, a potem znów zaczął się wić, wyginając plecy z całej siły. Prawie przeszedł i tylko jego nogi wciąż były wewnątrz. Wierzgął raz, mocno... i upadł na podłogę.

Leżał dopóki nie ustąpił mu zamęt w głowie i nie uspokoił się oddech. Przetoczył się, zgiął kolana i wstał, po czym chwiejnym krokiem ruszył korytarzem do sterowni. Rakieta była jego, ale on jej nie potrzebował dla siebie, jak również nie mógł jej użyć samodzielnie.

Dokładnie przestudiował tablicę kontrolną. Mnóstwo czasu upłynęło od chwili, gdy ostatni raz prowadził statek. Mnóstwo czasu i dwie ręce temu. Gdy już się upewnił, że rozumiał wszystko, schylił się i oparł brodę o pokrętko. Pracowicie kręcąc głową ustawił je w pozycji, którą potrzebował. Potem usiadł i kopnął przełącznik. Statek zakołysał się i unióś kilka cali w górę.

Zakładał, że Cameron nie zauważy tego. Lekarz powinien być zajęty chwytaniem Jordana. Gdyby zobaczył, co się dzieje, miał trzydzieści sekund, by powstrzymać Docchiego. Zbyt mało. Sytuacja im sprzyjała.

— Lądowanie rakiety — powiedział Docchi, gdy te trzydzieści sekund już minęło. — Instrukcja awaryjna. Powtarzam instrukcja awaryjna. Przygotować się. — Technicznie statek był w locie, chociaż ledwo ledwo, a użyta częstotliwość zapewniała, że wiadomość będzie słyszana i zauważona. — Wzywam wszystkie aktywne ropy. To rozkaz nadrzędny, anulujący wszystkie poprzednie polecenia. Potrzebne dodatkowe wyposażenie na wypadek katastrofy przy lądowaniu. — Docchi wyliczył potrzebne wyposażenie, po czym usiadł i zachichotał.

Odczekał jeszcze kilka minut i włączył kolanem zewnętrzne światła. Wstał i poszedł do wjazdu pasażerskiego, ocierając się po drodze o przełącznik. Trap pasażerski opuścił się. Docchi śmiało stanął w wejściu i spojrzał. Cały raketodrom był zalany światłem ze statku, belki i podpory ukazały się ze wszystkimi szczegółami. Robiło to teraz wrażenie, nawet piękne, chociaż pamiętał, jak je nienawidził, idąc tutaj.

— W porządku Jordan, możesz bezpiecznie zejść na dół — zawołał.

Jordan zahuśtał się w górze. Zsunął się do podpory i ześlizgnął na dół. Niezgrabnie ruszył po podłodze i w górę po trapie. Balansując na rękach spojrzał na Docchiego.

— No, potworze — uśmiechnął się. — Jak żeś to zrobił?

— Sam jesteś potworem — odpowiedział Docchi. — Przeczłołem się przez dyszę rakiety.

— Widziałem, jak zaczynasz — powiedział Jordan — ale nie liczyłem, że ci się uda. Nawet wtedy, gdy statek uniósł się, nie byłem pewien, dopóki nie wyszedłeś. — Jordan podrapał się po policzku. — Ale nie o to mi chodziło; pytałem, jak pozbyłeś się Camerona?

— Lekarze zwykle nie są zbyt dobrzy w sprawach technicznych — powiedział Docchi. — Cameron nie jest tu wyjątkiem. Nie pamiętał, że awaryjne lądowanie rakiety odwołuje wszystkie polecenia ustne. Podniosłem więc statek kilka cali do góry. Ropy nie są zbyt bystre, co zresztą nie ma znaczenia. Tak długo, jak statek jest w powietrzu, a ja zgłaszam, że ląduję, one muszą słuchać.

Jordan pokiwał głową z zadowoleniem.

— Biedny doktor — powiedział. — To nie to, że był tępy. Nic nie mógł zrobić, gdy go przechytryłeś.

— Powinien był to przewidzieć — powiedział Docchi. — Mógł przegrzać komorę generatorów grawitacji. To spowodowałoby powstanie sytuacji awaryjnej w głównej kopule, nieprawdziwej oczywiście, co przeważałoby tę, którą wywołałem ja. Miałby wtedy pierwszeństwo, przede mną, i mogłoby pokierować robotami z centrum grawitacji.

— Ja bym na to nie wpadł — powiedział Jordan. — No dobrze, ale jak skłoniłeś roboty, żeby stąd wyszły, zabierając ze sobą Camerona?

— Nic nie musiałem robić. Dopóki pilot lądującego statku zgłasza awarię, ropy mają rozkaz usuwać ze strefy zagrożenia wszystkich ludzi, czy oni tego chcą czy nie. Ciebie też by zabrały, gdyby mogły cię złapać, a to zadanie musiały porzucić, gdy zażądałem wyposażenia awaryjnego.

— Ciesz się mnie to — powiedział Jordan. — Chciałbym słyszeć, co teraz mówi Cameron. Poza tym wewnątrz statku będzie bezpieczniej. — Wślizgnął się do wnętrza, poklepując czule kadłub i zerkając z dużą ciekawością wzdłuż korytarza. — Jest teraz nasz. A co z resztą? — zapytał. — Jak ich tu sprowadzimy?

— Anti się tym zajęła. Ropy nie są skonstruowane tak, żeby coś kwestionować, a na ich liście jest wymieniona jako wyposażenie na wypadek lądowania awaryjnego. Dostarczą ją tutaj. A Nona miała czekać wraz z nią. — Na twarzy Docchiego pojawił się niepokój. — Myślę, że wytłumaczyliśmy jej jasno, że ma tam być.

— A jeśli nie rozumiała?

— Jestem pewien, że rozumiała — powiedział Docchi. — To nie było skomplikowane. W międzyczasie może lepiej przygotuj się do wyprowadzenia statku.

Jordan zniknął, kierując się do sterowni. Docchi został przy śluzie pasażerskiej. Powiedział, że instrukcje nie były trudne do zrozumienia i nie były – dla wszystkich innych. Lecz dla Nony świat był postawiony na głowie; często nie rozumiała najprostszycch rzeczy – i odwrotnie. Miał nadzieję, że jej się nie pomieszało.

Nie miał czasu na zastanawianie się nad tym. Ropy wracały. Najpierw je usłyszał, a w chwilę później zobaczył. Pojawiły się w polu widzenia, częściowo niosąc, a częściowo popychając wielki prostokątny zbiornik. Z inwencją niespodziewaną u robotów postawiły go na swoich czterech niewielkich pobratymcach, karłowatych robotach naprawczych, które posłużyły jako podpory tego ogromnego ciężaru.

Zbiornik był wypełniony niebieskim płynem. Z jego końców zwisały poskręcane rury – zostały wyrwane z podłoża, gdy został podniesiony z postumentu. Połamane rośliny wciąż pokrywały wąskie obramowanie, a wilgotna gleba oblepiała boki. Zniekształcony i pogięty zbiornik był jednak cały i nie przeciekał. Pięć robów pchało go pośpiesznie w kierunku statku, z mechaniczną obojętnością traktując człowieka, który

z rozwianym włosom, ogarnięty sfrustrowaną wściekłością, pokrzykiwał, próbując je powstrzymać.

— Jordan, otwórz służę towarową.

W odpowiedzi, statek uniósł się kilka cali i zawisł kołysząc. Fragment poszycia rufowego odchylił się na zewnątrz i opadł tworząc rampę. Statek był gotów na przyjęcie dostarczonego ładunku.

Docchi pozostał w wejściu dla pasażerów. Cameron był idiotą. Gdy ropy go uwolniły, powinien być zostać w głównej kopule. Tutaj jego obecność była niepożądana, bardziej niż to sobie mógł wyobrazić. Znow będą musieli się go pozbyć i na pewno to się uda.

Bardziej jednak martwiła go Nona. Nie towarzyszyła robotom i nigdzie jej nie było widać. Nie wyglądało też na to, żeby Cameron ją znalazł i zdołał zamknąć w szpitalu. Wszystko działo się zbyt szybko; lekarz miał szczęście, że nadał za ropami. Docchi ruszył niepewnie w dół trapu, po czym zawrócił. Nigdzie jej nie ma, stwierdził, a nie było już czasu, by pójść do głównej kopuły.

Tank został dopchnięty do statku i wepchnięty częściowo na rampę. Tu się zatrzymał, gdyż ropy przestały pchać. Zatrzymały się wszystkie, stając zdezorientowane.

Zbiornik potoczył się z powrotem. Ropy usuwały się z drogi, podrygując i brzęcząc, i rozglądały się badawczo dookoła. Docchiego, jak się wydawało, dostrzegły jednocześnie. Ich intencje były oczywiste. Docchi uprzedził je, skacząc w tył na statek.

— Zamknij właz pasażerski — krzyknął.

W drugim końcu korytarza pojawił się Jordan.

— Jesteś pewien? — zapytał. — Co się dzieje?

— To Vogel, technik. Musiał zobaczyć ropy na podglądzie, gdy dotarły do głównej kopuły. Próbuje zrobić to, o czym powinien pomyśleć Cameron i nie pomyślał.

Jordan cofnął się, po czym trap pasażerski ociężale ruszył do góry i zamknął z metalicznym stukotem. Widząc, że niebezpieczeństwo minęło, Docchi pospieszył do sterowni.

— Teraz nic nie widzimy i nie wiemy, co robić — poskarżył się Jordan.

— No nie wiem — powiedział Docchi. — Spróbuj coś zobaczyć przez telekom.

Kamery były blisko kadłuba i krzywizna okrętu wypełniała większość ekranu. Trudno było zobaczyć coś pod kątem. Obracając nimi zdołali pochwycić widok rogu zbiornika. Było jasne, że pozostaje tam, gdzie go widziano ostatnim razem. Docchi nie był pewien, ale sądził że go nie ruszono.

— Nie jestem przekonany, czy powinniśmy wnieść go tutaj — powiedział nerwowo Jordan. — Może lepiej go zostawić. Damy radę sami.

— Odlecieć bez zbiornika? Nie ma mowy. Vogel nie ma jeszcze całkowitej kontroli nad robotami.

Wglądało na to, że Docchi ma rację. Roboty, prawie bez ruchu, jak sparaliżowane, zgromadziły się nieopodal statku, popatrując to na raketę, to na zbiornik.

— Tak, ale zaraz będzie ją miał. Przyjrzyj się.

— Właśnie patrzę i dlatego sądzę, że ma problem. Daj mi pełną moc na radio awaryjne.

— A co to da? Dostał priorytet.

— Dostał, ale czy może im to przekazać? Myślę, że nie może, jest w takim miejscu, że jego sygnał jest za słaby. Mnóstwo stali dzieli go od robotów, osłabiając sygnał.

— Może ci się udać — zgodził się Jordan. — Najwyżej spalę instalację awaryjną. Jak się nie uda, to i tak nie będzie nam potrzebna. — Przerzuczał przełączniki, dopóki światełka obok nich nie rozświeciły się jasno.

— Aktywne ropy są wzywane do pomocy. To jest sytuacja awaryjna. Wnieść zbiornik na statek. Natychmiast. Natychmiast.

Ropy nie były zaprojektowane tak, żeby filtrować sprzeczne polecenia o niemal tym samym priorytecie. Ich zdolność rozumowania była niewielka, ale mechanizm umożliwiający im myślenie był skomplikowany. Pod jednym względem przypominały ludzi: podejmowanie decyzji nie było łatwe. Statek w niebezpieczeństwie – asteroida zagrożona. Oba przypadki wymagały od robotów zniszczenia siebie w razie potrzeby. Wydawało się, że nic więcej nie da się zrobić.

— Więcej mocy — szepnął Docchi.

— Nie ma więcej — odpowiedział Jordan, ale w jakiś sposób zdołał wycisnąć jeszcze trochę z rezerw.

Marionetki. Zawsze tym były – lalki na niewidzialnych drutach. Teraz ten drut ciągnął w jedną stronę. Inny, sam w sobie ważniejszy, ale niespodzianie dużo słabszy, ciągnął gdzie indziej. Obwody w elektronicznych mózгах przegrzewały się. Mikroprądy oscylowały pod wpływem stresu. Nie wiedziały. Po prostu nie wiedziały.

Ale musiały coś wybrać.

Ruszyły sztywno i pochwyciły zbiornik. Jakość ich decyzji została naciągnięta. Więcej wysiłku kosztowało ich zmuszanie się do tego niż samo popychanie zbiornika, niemniej wielka pogięta konstrukcja cał za całem potoczyła się po rampie.

— Gdy znajdzie się w środku, podnieś rampę — powiedział Docchi, nie zdając sobie sprawy z tego, że ledwo go słyszeć.

Rampa towarowa zaczęła się podnosić. Zbiornik nabierał szybkości w miarę poruszania się w głąb statku.

— Ropy, zadanie skończone. Ratujcie siebie — krzyknął Docchi. Zobaczył wir metalowych ciał skaczących z rampy.

Jordan odetchnął głęboko.

— To załatwia sprawę — powiedział. — Nie sądzę, żeby mogli teraz nam coś zrobić.

— To jeszcze nie koniec. Uruchom komunikację statek-stacja, o ile mamy jeszcze jakieś radio.

— Zdziwiłbym się — mruknął Jordan, ale jego sceptycyzm nie miał podstaw. Radio wciąż działało. Dostroił je.

Docchi był konkretny.

— Vogel, wylatujemy na zewnątrz — powiedział. — Nie próbuj nas powstrzymywać. Daj nam wolną drogę i nie narażaj kopuły na uszkodzenie.

Odpowiedzi nie było.

— Błefuje — stwierdził Jordan. — Wie, że jeśli się przebijemy, śluzy w głównej kopule zamkną się automatyczne.

— Jasne — zgodził się Docchi. — Wszyscy w głównej kopule są bezpieczni. O ile są tam. Vogel, wiesz, gdzie jest Cameron? Jesteś pewien, że jakaś pielęgniarzka czy powypadkowy nie zawędrowali tu zobaczyć, co się stało? Daj ci czas na przemyślenie tego.

Czekali i czekali. Każda sekunda była namacalną, cenną miarą trwania życia i wydarzeń – a ta miara była niezmiernie powolna. W tym czasie Jordan klikał telekom, przeszukując kopułę raketodromu. Niczego nie zobaczył; nawet ropa nie

było w zasięgu wzroku. Docchi obserwował ekran beznamiętnie; na jego twarzy nie odbijały się żadne myśli.

Technik systemu grawitacji wciąż nie odpowiadał.

— No dobrze. Daliśmy ci szansę — powiedział Docchi. Głos miał spięty. — Wiesz, co chcemy zrobić. Jeśli komukolwiek coś się stanie, odpowiedzialność spadnie na ciebie. — Odwrócił się od ekranu. — Jordan, zacznaj. Uderz dziobem w powłokę kopuły.

Jordan chwycił manetki. Statek, ruszając do góry, silnie się zatrzęsł i odleciał. Ryknął w powietrzu, po czym zrobiło się cicho, gdy wyleciał w przestrzeń. Cisza była gorsza niż wszelkie hałasy – wyobraźnia wypełniała ją sykiem powietrza uciekającego przez wielką dziurę w przezroczystej powłoce kopuły.

Jordan siedział u steru.

— Zrobił to? — zapytał.

— Musiał. Nie zaryzykowałby życia jakichś niewinnych osób.

— No, nie wiem — wątpił Jordan. — Gdybyś powiedział, że obawiał się uszkodzenia swojej cennej aparatury, to by było łatwiej uwierzyć.

— Niczego nie słyszałem. A powinno być słychać, gdybyśmy uderzyli.

— Było szybko. Co tu gadać, może Vogel chciał, żeby było bezpiecznie i usunął nam z drogi wewnętrzną powłokę, nawet jeśli nie wysłał nam automatycznego sygnału. W tym przypadku wszystko jest w porządku, gdyż zamknęła się zaraz, gdy tylko przelecieliśmy, nawet jeśli rąbnęliśmy w zewnętrzną powłokę. Całe powietrze by nie uciekło. — Jordan znierucho-

miał na chwilę, w milczeniu rozpatrując swoje argumenty, po czym skrzył manetkę i statek skoczył do przodu.

— Cameron mnie nie obchodzi — dodał. — Miał czas, żeby wyjść i wiedział, co mamy zamiar zrobić. Myślę, że Nona mogła tam być.

— Otworzył — powiedział ostro Docchi. — Nie uderzyliśmy w kopułę. Niczego nie słyszałem. Nony tam nie było. — Twarz mu poszarzała i nie było żadnej luminescencji. — Daj spokój — dodał i wyszedł.

Jordan kiwnął się w przód i w tył. Półkula, stanowiąca to, co pozostało z jego ciała doskonale do tego służyła. Włączył automatycznego pilota i zredukował ciężenie do jednej czwartej g . Opuścił ręce i uniósł się do góry. Zręcznie chwycił poręcz i prześlizgnął się po niej.

To był czysty przypadek, że ruszając korytarzem za Docchim, spojrział w kierunku rufy zamiast do przodu. Na drzwiach jednej z kabin mrugało światelko.

Kabina była zajęta.

Jordan dogonił Docchiego, zanim ten dotarł do ładowni. W niższej grawitacji był bardziej aktywny i mógł się swobodnie poruszać. Obecnie jego niepełnosprawność była prawie niezauważalna, tak jakby zniknęła. Nie można było tego powiedzieć o Docchim. Poruszanie się wymagało mniejszego wysiłku, ale był również głęboki efekt niestabilności narzucający mu ostrożność i niepewność.

Docchi usłyszał go, że nadchodzi i poczekał, opierając się o ścianę na wypadek, gdyby grawitacja chwilowo się zmieniła. Jordan wciąż miał broń, którą zabrał pilotowi. Bujała się przypięta do workowatego ubioru w pasie, który u niego wypadł tuż poniżej ramion. Zbliżył się korytarzem, wspomagając zręcznie poręczą, gdyż grawitacja na statku była tak samo chwiejna jak na asteroidzie i zatrzymał, wisząc na jednej ręce.

— Mamy pasażera — oznajmił. — To ktoś, o kim nie wiedzieliśmy.

Docchi zeszywniał.

— Kto? — zapytał, chociaż odpowiedź była już widoczna na twarzy Jordana. — To Nona — stwierdził z ulgą. Rozluźnił się. — Jak się tu dostała?

— Dobre pytanie — powiedział Jordan. — Tylko bez odpowiedzi; nigdy się tego nie dowiemy. Przypuszczam, że po wyłączeniu świateł i kamer w porcie, weszła na statek. Wgląda na to, że była tu mile widziana. Więc weszła. Nie pozwoliłaby takiej drobnej rzeczy, jak śluza, nie otworzyć się i zatrzymać ją.

— Bardzo prawdopodobne — zgodził się Docchi. — Jest strasznie ciekawska.

— I żeby dopełnić obrazu, już na statku poczuła się zmęczona, znalazła sobie wygodną kabinę i położyła się spać. Nie słyszy niczego, więc nasza mała potyczka z ropami jej nie przeszkodziła.

— Nie będę się z tobą spierał. Przyjmijmy, że tak było, dopóki nie znajdziemy innego wyjaśnienia.

— Lepiej by jednak było, gdyby poczekała kilka minut z tą drzemką. Zaoszczędziłaby nam mnóstwa kłopotów. Nie wiedziała, że dasz radę przeczołgać się przez dyszę, a ty również, dopóki tego nie zrobiłeś.

— Czego ty chcesz? — zapytał Docchi. — Zdziałała więcej niż my. Za bardzo na niej polegamy. Mamy oczekiwać, że osobiście będzie eskortowała nas do gwiazd.

— Wcale jej nie krytykowałem — zaprotestował Jordan.

— Może i nie. Ale musisz pamiętać, że jej umysł pracuje inaczej. Nigdy jej nie przyjdzie do głowy, że my możemy mieć kłopoty z czymś, co dla niej jest takie proste. Z drugiej strony, ona zupełnie jest niezdolna, by zrozumieć nasze koncepcje. — Wyprostował się. — Lepiej już chodźmy, bo Anti zaraz nas zacznie nawoływać.

Ładownia była spora. Musiała taka być, jeśli miał się w niej zmieścić zbiornik, obecnie cały poobijany i powgniatany. Mimo tego zbiornik, który był zbudowany solidnie, sprawiał wrażenie, jakby miał przetrwać wieki. Było wątpliwe, czy sam statek przetrwa dłużej od niego. Ściana naprzeciw śluzy była paskudnie wgięta w miejscu, w którym uderzył o nią zbiornik, a regały były połamane. Drobne elementy wyposażenia leżały porozrzucane po podłodze.

— Anti — zawołał Docchi.

— Jestem.

— Cała?

— Nigdy nie czułam się lepiej — usłyszeli radosną odpowiedź. Nie było w tym nic dziwnego; jej nadmiar ciała stanowił wystarczającą osłonę przed wstrząsami.

— Jordan zaczął wspinać się po ścianie zbiornika, wszedł na górę i zajrzał do środka.

— Wydaje się być w porządku — zawołał na dół. — Trochę kwasu wyciekło, ale poza tym brak uszkodzeń.

— Oczywiście — odpowiedziała Anti. — Co ja wam mówiłam?

Być może sprawa była poważniejsza, niż ona to sobie wyobrażała. Osobiście mogła tego nie lubić, ale kwas był potrzebny jej do życia. A jakaś jego część została wychłapana. Tam, gdzie został rozlany, metal korodował raptownie. Samo w sobie nie było to jednak powodem do alarmu. Statek był przystosowany do całego szeregu różnych środowisk i system utylizacyjny radził sobie z kwasem równie dobrze jak z wodą, zobojętniając go i usuwając tam, gdzie nie mógł niczemu zaszkodzić. Jego poziom jednak powinien być utrzymany. A dostaw miało nie być.

— Na co czekacie? — huknęła Anti ze zniecierpliwieniem. — Zabierzcie mnie stąd. Moczę się w tej obrzydliwej zupie już wystarczająco długo.

— Zastanawialiśmy się, jak cię stąd wydostać. Coś wymyślimy.

— Myślenie zostawcie mnie. Jesteście wystarczająco zajęci. Po waszym odejściu doszłam do wniosku, że musi być jakiś sposób na życie poza zbiornikiem i oczywiście, gdy nagięłam mój umysł, sposób się znalazł. Ostatecznie, kto zna lepiej ode mnie moje potrzeby życiowe?

— Tak, jesteś ekspertem. Powiedz nam, co trzeba zrobić.

— Jasne, że powiem. Od was potrzebuję jedynie stanu nieważkości, a resztę sama załatwię. Mam więcej mięśni, niż myślicie. Mogę poruszać się tak długo, dopóki moje kości nie załamiają się pod ciężarem.

Niskie ciążenie to kiepski pomysł dla Docchiego, nic nie było od tego gorsze. Nie mając rąk, był bezsilny. Perspektywa unoszenia się swobodnie bez możliwości chwycenia się czegoś była przerażająca. Stłumił swój strach. Anti tego potrzebowała, więc on będzie musiał się przystosować do zerowej grawitacji.

— Załatwimy to — obiecał. — Zanim jednak to zrobimy, będziemy musieli spuścić kwas i gdzieś go przechować.

— Wszystko mi jedno, co z nim zrobicie — powiedziała Anti. — Wiem tylko, że nie chcę już w nim być.

Jordan już się tym zajmował. Zsunął się na dół i zajął wydalaniem w przestrzeń wody z zapasowego zbiornika. Gdy tylko go opróżnił, przeciągnął wąż do zbiornika z kwasem. Rozległ się szum pompy i poziom kwasu zaczął opadać.

Docchi poczuł, że statek przechyla się w znajomy sposób. Był znacznie starszy niż sądził, a generatory grawitacji bardziej niż przestarzałe.

— Szybciej — zawołał do Jordana.

W samą porę się do tego zabrali. Jeśli grawitacja padnie zanim skończą, będą mieć trudne chwile. Swobodnie poruszające się kule wysoce korozyjnego kwasu rozproszony po statku ruchem powietrza mogą być równie destrukcyjne, co rój szybkich meteorów.

Jordan pomajstrował przy pompie, docisnął dźwignię najmocniej, jak mógł i trzymał w tej pozycji.

— Powinniśmy zdążyć — powiedział, przekrzykując zgrzyt pompy.

Maszynaria ledwo zipała, ale dała radę. Stukot załamał się, przechodząc w klekotanie pustej pompy i sygnalizując, że zbiornik jest pusty. Jordan zwinął wąż, zanim generator grawitacji pozwolił, by uczucie ciężaru rozplynęło się w nicłość.

Pozbywszy się wagi, Anti wydostała się ze zbiornika.

Odkąd ją znał, Docchi nie widział więcej niż tylko twarz obramowaną błękitem kwasu. Tam, gdzie było to możliwe, okresowe operacje chirurgiczne usuwały jej nadmiar ciała. Przez resztę czasu żyła zanurzona w żrącym płynie usuwającym dziką tkankę tak szybko, jak ta narastała. W każdym razie, prawie tak szybko.

— No, odpady, popatrzcie na prawdziwego dziwołaga — rzuciła Anti.

Oczekiwał czegoś takiego, ale jego przewidywania okazały się nietrafne. To prawda, ludzie nie powinni urosnąć tak bardzo, ale przecież Jowisz nie był odpychający dlatego, że jawił się jako spęczniały gigant wśród planet. Widziany z bliska był niewiarygodny i przytłaczający, ale nie obsceniczny. Trochę więc zajmie mu przyzwyczajanie się do niej, niemniej będzie w stanie znieść jej widok.

— Jak długo możesz wytrzymać bez kwasu? — wyjąkał.

— Nie mogę żyć poza nim — powiedziała z powagą Anti. — Muszę więc zabrać go ze sobą. Gdybyście nie byli takimi kiepskimi obserwatorami, jak to zwykle bywają mężczyźni, to byście zobaczyli, jak to robię.

— To jest płaszcz jakiegoś rodzaju — zapytał Docchi, przyglądając się jej uważnie.

— Właśnie. Serweta chirurgiczna to jedyna rzecz pasująca na mnie. Być może jedyne ubranie dla mnie w Układzie Słonecznym. W każdym razie jeśli przyjrzyście się temu dokładnie, to zobaczycie, że jest zrobione z materiału o strukturze gąbki. Zatrzymuje wystarczającą ilość kwasu, bym mogła przetrwać przynajmniej trzydzieści sześć godzin.

Chwyciła poręcz i ruszyła w kierunku przejścia. Dla większości ludzi było tu wystarczająco dużo miejsca, ale nie dla niej. Niemniej mogła się trochę ścisnąć. A jej satelici, jeden świecący, drugi kołyszący się na dziwnej orbicie, podążyli za tym ludzkim Jowiszem.

*

Gdy weszli, przed pulpitem kontrolnym stała Nona. Pulpit był mniej lub bardziej jak wszystkie tego typu pulpity od czasu, gdy konstruktorzy uświadomili sobie, co tak naprawdę można zrobić z tymi wyraźnie prostymi elementami. Była to oszałamiająca kolekcja światełek, dźwigni, pokręteł i wskaźników. Żaden z nich nie interesował Nony. Cała jej uwaga skupiła się na oddzielnym od pozostałych pojedynczym małym przełączniku z wyświetlaczem. Wydawała się być zakłopotana tym, co zobaczyła, a raczej tym, czego nie było widać. Zakłopotana czy podniecona, trudno było to stwierdzić.

Anti zatrzymała się.

— Spójrzcie na nią — powiedziała. — Gdybym nie wiedziała, że nie jest lepsza od nas i w rzeczywistości jedyna w swoim rodzaju, mogłabym łatwo ją znienawidzić. Jest obrzydliwie normalna.

Było w tym wiele prawdy... i jednocześnie nie było. Techniki chirurgiczne, którymi można było rozebrać ciało na części, a potem złożyć je z powrotem tak umiejętnie, jak to robio-

no zawsze z maszynami, uczyniły piękno czymś zwyczajnym. Nie było już obwisłych mięśni, odbarwionej skóry ani zmarszczek. Nawet starcy byli atrakcyjni i młodzi do dnia śmierci, a nawet i później. Nie było już zniekształconych kończyn, zdeformowanych ciał, brzydkich włosów. Wszyscy byli piękni i przystojni. Bez wyjątku.

Oczywiście powypadkowi do nich nie należeli. W innych czasach większość z nich zatrudniono by w cyrku – o ile udało by się im uniknąć słoika z formaliną.

A Nona nie należała... podwójnie. Trudno było ją nazwać normalną; nie była też wynikiem terapii naprawczych, jak pozostali powypadkowi. Gdy przyjrzeć się jej bliżej, różniła się tak dalece od średniej w jedną stronę, jak Anti się różniła w drugą.

— W co ona się tak wpatruje — zapytała Anti, gdy pozostali wślizgnęli się za nią do pomieszczenia. — Coś jest nie tak z tym małym wyświetlaczem?

— Ten wyświetlacz ma ciekawą historię — powiedział Docchi. — Jest nie tyle bezużyteczny, co nie używany. W rzeczywistości jest to wskaźnik napędu grawitacyjnego, który w swoim czasie uważano za bardzo obiecujący. Nie został on wymontowany, gdyż może się okazać przydatny w pewnych ekstremalnych warunkach.

— A dodatkowe obciążenie...

— Nie ma dodatkowego obciążenia. Napęd grawitacyjny wykorzystuje ten sam generator, który wytwarza sztuczną grawitację. Ciekawe, że Nona od razu się nim zainteresowała. Jestem pewien, że nigdy nie była w sterowni, a przecież przeszła prosto do niego. Może mieć nawet jakieś domysły co do jego przeznaczenia.

— No dobrze, na co jeszcze czekacie? — zapytała Anti, porzucając te rozważania. — Ona nas nie słyszy. Stańcie przed nią.

— A jak ja mam się tam dostać? — Docchi uniósł się kilka cali, gdy Jordan go puścił. Unosił się swobodnie i bezsilnie jak coś w rodzaju planktonu przestrzeni.

— Dobry inżynier pomyślałby o magnesach. Jak Nona — stwierdziła Anti, chwytając go za kurtkę. Nie wiadomo jak, ale poruszała się. Jej zewnętrzne tkanki były zbyt obfite, żeby można było dostrzec ruch pojedynczych mięśni. Ruszyła do środka sterowni, a Docchi wraz a nią.

Nona odwróciła się, zanim do niej dotarli.

— Biedny chłopcze — westchnęła Anti. — Jeśli próbujesz ukryć swoje emocje, to nie bardzo ci to wychodzi. W każdym razie przestań świecić jak tęcza i powiedz coś.

— Cześć — Docchi wykrztusił nieprzekonująco.

Nona uśmiechnęła się do niego, ale zbliżyła się do Anti.

— Nie podchodź za blisko, moje dziecko. Nie dotykaj tej serwety chirurgicznej, jeśli nie chcesz, żeby ci się ta ładna buzia złuszczyła w wyniku nieuwagi.

Nona zatrzymała się. Była bardzo blisko, ale równie dobrze mogła być wiele mil stąd. Nie odezwała się.

Anti potrząsnęła głową w poczuciu beznadziei.

— Gdyby chociaż mogła nauczyć się czytać z ruchu warg albo przynajmniej rozpoznawać słowa. A tak, to co można jej powiedzieć?

— Myślę, że rozumie mimikę twarzy — powiedział Docchi. — Równie dobrze wyczuwa też emocje. Gubi się przy słowach. Myślę, że nie wie o ich istnieniu.

— No to jak myśli? — zapytała Anti i sama sobie odpowiedziała. — Może wcale nie myśli.

— Nie bądź dogmatyczna jak ci psycholodzy. Wiemy, że myśli. W jaki sposób, nie ma pewności. W każdym razie nie werbalnie i nie matematycznie. Robiono jej odpowiednie testy. — Docchi zmarszczył brwi, zastanawiając się. — Ja tego nie wiem. A chciałbym.

— Pomartw się może trochę o naszą obecną sytuację — powiedziała Anti. — Obiekt twojej uwagi wydaje się tego nie potrzebować. A przynajmniej nie jest zainteresowana.

Nona wróciła do pulpitu kontrolnego i dalej wpatrywała się we wskaźnik napędu grawitacyjnego. Naprawdę nie było tam nic godnego uwagi, niemniej jej ciekawość była nienasycona i dziecinna.

Pod różnymi względami wydawała się być niedojrzała. To nasuwało zwodnicze pytanie: jakim jest dzieckiem? Nie czym dzieckiem, a jakim. Jej prawdziwi rodzice byli znani, zacofani technicy mechanicy, potomkowie długiej linii techników mechaników. A wśród nich żadnej znacznej czy wyróżniającej się osoby, rodzina nigdy nie notowana jako sławna czy niesławna w jakiegokolwiek dziedzinie – dopóki nie pojawiła się Nona. Gdzie według genetyków było jej miejsce? Docchi nie wiedział, lecz nie podzielał oficjalnego poglądu medycyny.

Z pewnym wysiłkiem przestał myśleć o Nonie.

— Odwoływaliśmy się do radcy medycznego — powiedział — prosiliśmy o statek, by lecieć do najbliższej gwiazdy. Oczywiście z napędem raketowym. Nawet lepiej skonstruowany niż ten, co mamy teraz, leciałby bardzo długo, czterdzieści, pięćdziesiąt lat w jedną stronę i tyle samo z powrotem. To jest zdecydowanie za długo dla normalnej załogi, ale dla nas

nie ma znaczenia. Wiecie już, co Rada Medyczna zrobiła z naszą prośbą. Dlatego tu jesteśmy.

— Dlaczego napęd raketowy? — wtrącił Jordan. — Dlaczego nie jakiś rodzaj tego napędu grawitacyjnego, o którym mówiłeś? Wydaje mi się znacznie lepszym rozwiązaniem na tak daleką podróż.

— Teoretycznie jest bardzo dobry — odpowiedział Docchi. — W teorii nie ma górnego limitu dla napędu grawitacyjnego, oprócz prędkości światła. A nawet to jest dyskusyjne. Gdyby działał, czynnik czasowy można by podzielić na odcinki. Ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat udowodniono, że napędy grawitacyjne kompletnie nie działają poza układem planetarnym. Bardzo dobrze działają w pobliżu słońca, poczynając od orbity Wenus, i zupełnie nie nadają się do niczego na zewnątrz od orbity Ziemi.

— Dlaczego — zapytał Jordan. — Mówiłeś, że wykorzystują ten sam generator, co sztuczna grawitacja, a ta działa dobrze z dala od słońca.

— Tak, tak — rzekł zniecierpliwiony Docchi — jak ta tutaj, teraz. Grawitacja wewnątrz statku działa gorzej niż na asteroidzie i ledwo można mieć do niej zaufanie. A napęd z jakichś powodów działa zawsze gorzej niż sztuczna grawitacja. I nie pytajcie mnie dlaczego. Gdybym wiedział, nie byłoby mnie tu. Z rękami czy bez, biokompensator czy nie, byłbym najważniejszym uczonym na Ziemi.

— Z mnóstwem kobiet współzawodniczących o twoje względy — powiedziała Anti.

— Myślę, że poprzestałby na jednej — zasugerował Jordan.

— Biedny człowiek bez wyobraźni — powiedziała Anti. — Gdy byłam młoda, nie miałam takich ograniczonych poglądów.

— Słyszeliśmy o twojej młodości — powiedział Jordan. — Nie bardzo w to wierzę.

— Jeśli chcecie, to prywatnie możecie sobie opowiadać o swojej młodości i miłosnych aferach, ale teraz oszczędźcie mi szczegółów. Zwłaszcza, że mamy ważniejsze rzeczy do roboty — zganił ich Docchi. — W każdym razie napęd grawitacyjny nie wchodzi w grę — podsumował. — W swoim czasie były wiązane z nim duże nadzieje, ale zrezygnowano. Obecne funkcje generatora to wytworzenie grawitacji wewnątrz statku dla wygody pasażerów. I nic poza tym.

No więc to jest statek raketowy, powolny i niezgrabny, ale pewny. Zabierze nas tam. Rada Medyczna nam odmówiła, więc musimy zaapelować wyżej.

— Jestem w całości za — powiedziała Anti. — A jak się dostaniemy wyżej?

— Już to przedyskutowaliśmy — powiedział Docchi. — Rada Medyczna odpowiada przed Rządem Solarnym, a ten, jak wiadomo, ulega różnym drobnym pośrednim naciskom.

— Lub wcale nie takim pośrednim silnym naciskom. Pięknie. Popieram — powiedziała Anti. — Chciałam się tylko upewnić.

— Blisko jest Mars — kontynuował Docchi — ale Ziemia ma większe wpływy. Rekomendowałbym Ziemię... — urwał i zaczął nasłuchiwać.

Anti również zaczęła nasłuchiwać, ale nic nie słyszała, dźwięk był dla niej chyba zbyt słaby.

— O co chodzi — zapytała. — Pewnie wam się coś wydaje.

Jordan pochylił się do przodu na swoim siedzeniu i przyjrzał dokładnie instrumentom.

— W tym problem, Anti — odpowiedział. — Dźwięk nie powinien być słyszalny, ale dopóki silnik raketowy pracuje powinnaś wyczuwać wibracje.

— Ale również nie czuję.

— Wiem — powiedział Jordan, spoglądając na Docchiego. — Nic nie rozumiem. Mamy mnóstwo paliwa.

Gdy silniki raketowe zgasły, moment pędu statku zmienił się. Wciąż lecieli, ale niezbyt szybko i nie w tym kierunku, w którym chcieli. Docchi ostrożnie wypróbował buty magnetyczne. W panującej na statku nieważkości czuł się wciąż nieporadnie, ale już nie bezsilnie. Daremnie wpatrywał się w instrumenty, jak gdyby mógł wyrwać im więcej tajemnic, niż to można uzyskać z pulpitu kontrolnego.

— Jakiś techniczny problem — powiedział z niepokojem. — Nie wiem, jak się do tego zabrać.

Zanim to oznajmił, Anti już wypływała ze sterowni.

— Jestem oczywiście kompletną ignorantką — mówiła — ale wydaje mi się, że powinniśmy zacząć od dysz raketowych i prześledzić problem stamtąd.

— Taki właśnie miałem zamiar — powiedział Docchi. — Zostań tu, Anti. Ja sprawdzę, co jest nie tak.

Kobieta sięgała niemal od podłogi do sufitu. Brakowało jej kilku cali do ścian korytarza. Mogła się łatwo poruszać, ale nawrót był niemożliwy. Więc nie zawróciła.

— Słuchaj , złotko — usłyszeli jej głos — zabraliście mnie w tę podróż. To dobrze. Jestem wdzięczna, ale to mnie

nie zadowala. Wydaje mi się, że powinnam zarobić na przejazd. Wy tu zostańcie i prowadźcie statek. Ty i Jordan wiecie jak. Ja nie wiem. Więc ja zobaczę, co się zepsuło.

— Nie będziesz wiedziała, co zrobić.

— Nie muszę. Nie trzeba być mechanikiem, żeby zobaczyć, że coś jest złamane. Zobaczę, co się stało, a wy potem pójdziecie to naprawić.

— Pójdziemy oboje. — Docchi wiedział, kiedy argumenty przestają mieć dla niej znaczenie. — Jordan zostanie przy sterach.

Korytarz w tym nie najnowszym statku był obskurny i słabo oświetlony. „Niebo Niepełnosprawnych” nie zasługiwało na najlepszy sprzęt jaki wyprodukowano, więc nawet gdy był on nowy, nie był najwyższej jakości. Po jednej stronie korytarza była zewnętrzna ściana kadłuba, a po drugiej kilka niewielkich kabin. Żadna nie była zajęta. Anti zatrzymała się. Korytarz kończył się przejściem na drugą stronę statku, gdzie biegł drugi korytarz prowadzący z powrotem do sterowni.

— Sprawdźmy dysze rufowe — powiedział Docchi, wciąż nic nie mogąc dojrzeć przed nią. — Otwórz drzwi i zajrzyjmy tam.

— Nie mogę — powiedziała Anti. — Próbowałam, ale uchwyt się nie obraca. Jest również czerwone światło. Czy to coś oznacza?

Docchi spodziewał się czegoś takiego, niemniej teraz, gdy stanął przed tym problemem, serce mu zamarło.

— Tak. Nie próbuj więcej. Z twoją siłą mogłabyś okazać się na tyle pechowa, że udałoby ci się otworzyć te drzwi.

— I to ma być męzczyzna — powiedziała Anti. — Najpierw każe otworzyć, a potem nie chce, żebym otwierała.

— Anti, w rufowym przedziale nie ma powietrza. Komora spalania została otwarta, dlatego silniki rakietowe się wyłączyły. Powietrze uciekło natychmiast w przestrzeń. Na co wskazuje ten czerwony sygnał.

— Wszyscy umrzemy, jeśli otworzę to teraz?

— Wszyscy.

— To zajmijmy się tym i naprawmy.

— Naprawimy. Ale musimy się najpierw upewnić, że to się nie powtórzy. Bo widzisz, to nie było przypadkowe. Ktoś, lub coś, jest za to odpowiedzialny.

— Jesteś pewny?

— Bardzo pewny. Widziałaś kogoś, gdy ładowaliśmy twój zbiornik na statek?

— Nikogo. A w jaki sposób miałam kogoś widzieć? Słyszałam krzyki Camerona i inne hałasy. Ale nie widziałam niczego, co nie było bezpośrednio nad moją głową. A tam niczego nie było.

— Tak myślałem. Rop mógł tam wejść przez nikogo niewidziany. Nie liczyłem ich, ale byłem pewien, że wszystkie wyskoczyły na zewnątrz. Myliłem się; jeden został.

— A dlaczego musi to być rop?

— Musi, Anti. Komora spalania została otwarta, gdy my wszyscy byliśmy w sterowni. My tego nie zrobiliśmy, więc musiał to zrobić ktoś tam. Człowiek jest za słaby, żeby otworzyć komorę spalania, ale jeśli nawet uznalibyśmy to za możliwe, to po otwarciu komory, rakiety by zgasły, a powietrze uciekłoby z pomieszczenia w przestrzeń.

— Czyli mamy tam martwego ropa.

— Ropy nie umierają, ani nawet nie wyłączają się. Brak powietrza w niczym im nie szkodzi. I nie tylko to, rop jest

w stanie uciec stamtąd. Jest wystarczająco silny, żeby otworzyć drzwi, mimo ciśnienia, wyjść i zamknąć je w niecałą sekundę. Nawet byśmy tego nie zauważyli, gdyż statek natychmiast uzupełniłby ten niewielki ubytek powietrza.

— Czyli jest tu gdzieś rop, chcący nas załatwić? — zaszepiła się Anti.

— Tego się właśnie obawiam.

— No to po co tu tkwimy? Trzeba iść do sterowni i namierzyć tego robota przez radio. Każemy mu tam wejść i naprawić, to co zepsuł. — Odwróciła się częściowo i zobaczyła twarz Docchiego. — Tylko mi nie mów — powiedziała — że to się nie da, bo radio nie działa wewnątrz statku.

— Nie działa — potwierdził z niechęcią Docchi. — Roboty nie są nigdy używane na pokładzie, więc częstotliwość alarmowa jest kierowana na zewnętrzną antenę. A kadłub statku zapewnia całkiem niezłą ekranizację.

— No i cała przyjemność po naszej stronie — oświadczyła z zadowoleniem Anti. — Urządzimy sobie polowanie na robota.

— Z gołymi rękami.

— Och, daj spokój. Wcale nie jest tak beznadziejne. Spójrz, gdy silniki zgasły robot był tutaj. Nie mógł przejść przez sterownię, bo byśmy go zobaczyli.

— No nie mógł. Ale przez ten przedział prowadzą dwa korytarze, po obu stronach statku.

— O tym właśnie mówię. My przyszliśmy tym i żadnego ropa nie było. Musiał więc pójść tamtym. Gdyby był w którejś z kabin, świeciłby się wskaźnik. Nie może się ukryć przed nami.

— Nie wątpię, że go znajdziemy. Tylko co zrobimy potem?

— Zastanawiałam się... — powiedziała Anti. — Możesz mnie wyminąć, gdy tak stoję?

— Nie.

— O tym właśnie myślałam. Rop też nie da rady. Jedyne, czego potrzebuję to miotacz albo coś, co go przypomina. Popędzę robota przed sobą, a Jordan go usmaży. — I z determinacją ruszyła korytarzem. — Leć do Jordana i uprzedź go. Na statku powinna być jakaś inna broń. Pilot powinien coś mieć. Przynieś mi to.

Docchi przygryzł wargi i popatrzył na plecy ogromnej kobiety. Znał ją i wiedział, kiedy nie warto z nią dyskutować.

— Dobrze — odpowiedział — ale zostań tutaj. Nie próbuj niczego, dopóki nie przyniosę ci miotacza.

Buty magnetyczne nie były substytutem grawitacji. Docchi nie mógł poruszać się szybko – nikt nie mógł. Miał czas, żeby po drodze wszystko sobie przemyśleć, niemniej nic lepszego nie wymyślił. Miotacz dla Jordana i drugi dla Anti – jeśli znajdzie się drugi.

Anti zablokuje przejście. Rop będzie chciał się obok niej precyzyjnie przesuwać, ale nigdy mu się to nie uda. Będzie próbował uciec. Gdyby ruszył na Anti, ta mogłaby go obezwładnić. Ale wtedy strzelałaby prosto w kierunku sterowni. A gdyby chybiła – nawet częściowo – no cóż, instrumenty były delikatne.

Jordan miał szansę, by załatwić robota. Ale wtedy Anti będzie na linii ognia. W którą stronę by nie pójść, plan wydawał się być nierealny. Musieli wymyślić coś innego.

— Jordan — zawołał, gdy dotarł do sterowni; Jordana nie było. Nona wciąż wpatrywała się we wskaźnik grawitacji. Nic nie wydawało się zdolne do przebicia przez otaczającą ją mur.

Z przeciwnego korytarza padało światło. Docchi pospieszył tam. Jordan był zaraz za wejściem, z determinacją trzymając przed sobą miotacz. Podciągał powoli swoje skrócone ciało w kierunku rufy.

Z drugiej strony zbliżała się Anti – nieuzbrojona gigantyczna Anti. Nie miała zamiaru czekać na broń – była prawie pewna, że Docchi jej nie znajdzie i chciała tylko się go pozbyć. I nie szła, a raczej jakby płynęła – ogromne pękate morskie stworzenie poruszające się w powietrzu. Zafalowała czymś przypominającym płetwy, oparła się o ścianę i popchnęła do przodu.

— Usmaż go! — krzyknęła.

Sylwetka ropa, przypominająca człowieka jedynie w zarysach, była dość trudna do zauważenia. Masywny, błyszczący korpus rozpływał się w strukturze statku – niezamierzony kamuflaż, z którego robot nie zdawał sobie sprawy. Kucnął na progu kabiny, wahając się, któremu zagrożeniu się przeciwstawić.

Jordan uniósł broń i opuścił tym samym ruchem.

— Zejdź mi z linii ognia — zawołał, gestykulując nadaremno.

Anti nie miała się gdzie usunąć. Była za wielka, by wejść do kabiny i zbyt masywna, żeby robot mógł się precyzyjnie przycisnąć, nawet gdyby tego chciała.

— Nie przejmuj się. Załatw go — zawołała.

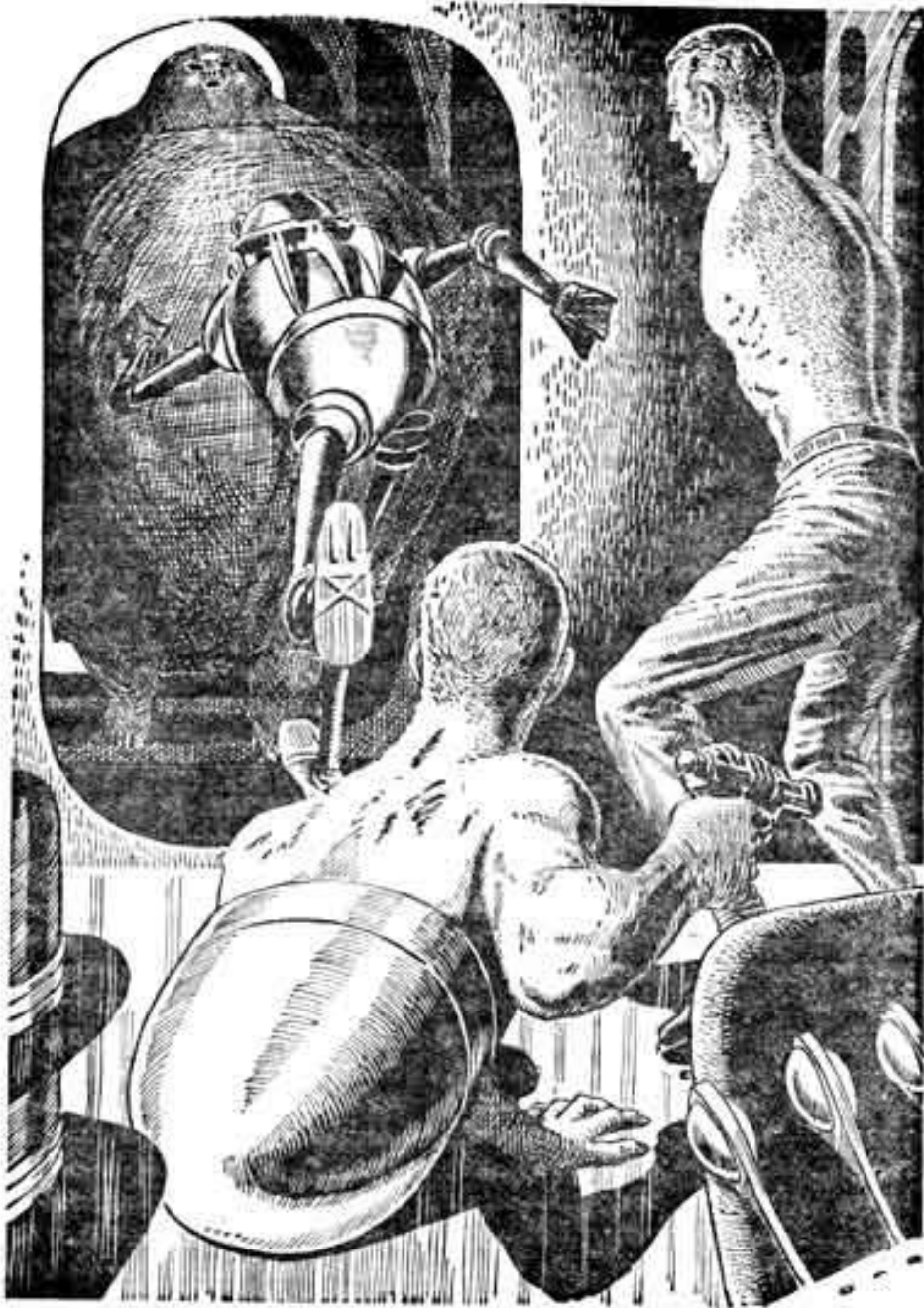
Rop nie był geniuszem, nawet jak na standardy robotów. Ale wiedział, że żar jest zabójczy, a ludzkie ciało kruche. Ru-

szył więc w kierunku Anti. W przeciwieństwie do ludzi nie potrzebował specjalnych magnesów, ta funkcja była w niego wbudowana i obecność czy nieobecność ciężenia nie robiła mu różnicy. Poruszał się bardzo szybko.

Docchi z niechęcią obserwował to wszystko. Robot jakby eksplodował, rzucając się w kierunku Anti. Jednak to on został odepchnięty. Kalkulował szybko, ale nieprawidłowo – bezwładność masy faworyzowała ogromną kobietę.

Elektroniczny mózg słuchał pierwotnych instrukcji – jakiegokolwiek by nie były. Podniósł się i ruszył ponownie. Metalowe ręce wystrzeliły z oszałamiającą prędkością i ponownie uderzyły w ciało olbrzymki. Docchi usłyszał huk uderzenia. Zwykły człowiek nie mógłby przeżyć czegoś takiego.

Anti nie była zwykłym człowiekiem. Nawet dla powypadkowych była to dziwna kobieta, egzystująca w głębi pancerza swojego ciała. Możliwe, że nawet nie poczuła druzgoczącej siły tych uderzeń. Nie próbowała odwrócić się ani uciekać. Zamiast



tego sięgnęła, chwyciła robota i przyciągnęła go do siebie. Rop stracił inny aspekt swojej przewagi – punkt podparcia. Błysz-

czące ramiona nie wymachiwały już tak szybko ani z taką zabójczą siłą.

— Ciężenie — krzyknęła Anti. — Dajcie mi wszystko, co macie.

Jej strategia była oczywista; przycisnęła szarpiącą się maszynę. Tu przynajmniej Docchi mógł jej pomóc. Odwrócił się i zrobił dwa kroki, zanim impuls uderzył. Ciężenie pojawiało się falami, każda kolejna silniejsza od poprzedniej. Pierwszy impuls zachwiał nim, przy drugim kolana się pod nim ugięły i runął na podłogę. Bębenki w uszach go rozboleły i wydało mu się, że statek się trzęsie. Mimo oszołomienia, zdawał sobie sprawę, że takie natężenie pola grawitacyjnego nie było nigdy zastosowane – wiedza ta nie umożliwiała mu poruszania się. Przygnieciony ciężarem był bezsilny.

Siła zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Jego płuca z bólem rozszerzyły się, każdy mięsień bolał osobno. Przetoczył się i wstał, wpadając na Jordana.

Anti bynajmniej nie leżała bezwładna i połamana, jak oczekiwał. Zdążyła się podnieść, zanim się do niej zbliżył.

— Uff — westchnęła, przyglądając się z satysfakcją pogiętemu żelastwu leżącemu u jej stóp. Robot nie nadawał się do naprawy, korpus miał zgnieciony, ręce i nogi pogięte, głowa roztrzaskana, a znajdujący się w niej sztuczny mózg kompletnie zniszczony.

— Jesteś ranna? — zapytał z obawą Docchi.

Anti zakołysała się z boku na bok i czekała chwilę na odzew wędrujący po nerwach.

— Nic — powiedziała w końcu. — Nie czuję żadnych złamań. Czułabym coś, próbując się podnieść. — Cofnęła się nieco, by mieć lepszy widok na robota. — Tak to jest, jeśli rzu-

cić moim ciężarem w odpowiednim czasie i w odpowiedni sposób — stwierdziła z satysfakcją. — Sekret polega na zgraniu. I muszę przyznać, że odegrałeś swoją rolę doskonale. — Jej śmiech przetoczył się po statku.

— To nie ja włączyłem grawitację — powiedział Docchi.

— Więc kto? Jordan? Nie, dopiero się podnosi.

— Nona — stwierdził Docchi. — Tylko ona nie miała nic do roboty. Zobaczyła, co się dzieje i zrobiła to, zanim tam dotarłem. Ale nie mam pojęcia, skąd wzięła tak duże ciężenie.

— Zapytaj ją — powiedziała Anti.

Docchi skrzywił się i pokuśtykał do sterowni, a za nim Anti i Jordan. Nona stała przed sterownikiem grawitacji; na jej twarzy widać było wyraz zadowolenia i odprężenia.

Bezprecedensową moc pola grawitacyjnego można było oczywiście wyjaśnić. Statek był stary i zużyty. Poluzowane lub zerwane połączenia musiały się jakoś pozwierać, dając więcej mocy do generatora, niż przewidywali jego projektanci. Jakimś cudem trwało to tylko krótki czas. I to wszystko. Niemniej takie wyjaśnienie nie było zbyt zadowalające.

— Zastanawiam się, czy ty nie miałaś z tym coś wspólnego — powiedział Docchi do Nony, a ona uśmiechnęła się z ciekawiona.

— Musiała — odezwał się Jordan. — Jest jedyną osobą, która mogła to zrobić.

— Włączyć, tak. Ale zwiększyć natężenie pola? Nie wiem — powiedział Docchi i przedstawił im swoje wyjaśnienie.

— Brzmi logicznie — zgodził się Jordan. — I nie ma znaczenia, jak to się stało. To byłoby ciekawe dla inżynierów od grawitacji. Gdybyśmy mieli czas, to sam bym również chciał

wiedzieć, jak te obwody się zwały. Może byśmy odkryli coś nowego.

— Z pewnością jest to bardzo interesujące — powiedziała z irytacją Anti. — Dla wszystkich, ale nie dla mnie. Jestem pragmatyczna. Chcę jedynie wiedzieć, kiedy będziemy mogli uruchomić silniki rakietowe? Daleka droga przed nami.

— Jest przedtem jedna rzecz, Anti — powiedział Jordan. — Zdjęta podczas lotu głowica komory spalania oznacza generalnie przynajmniej jedną wypaloną dyszę. — Zbliżył się do instrumentów i sprawdził je z ponurą miną. — Tym razem to są trzy.

— Jordan, zapomniałeś o jeszcze jednej rzeczy — powiedział Docchi. — Zastanawiałem się nad tym robotem.

— Myślałam, że załatwiliśmy go definitywnie — odezwała się niecierpliwie Anti.

— Załatwiliśmy. Ale zastanówmy się. Skąd on dostawał instrukcje? Nie od Vogla przez radio. Kadłub ekranuje to pasmo całkowicie. A na końcu, jak wiemy, to my je kontrolowaliśmy.

— Głos — powiedział Jordan. — Zwolniliśmy je. Ktoś inny mógł je przejąć.

— Kto? — zapytała Anti. — Przecież nikt z nas.

— Nikt. Ale przypomnijcie sobie ten moment, gdy ładowaliśmy zbiornik. Obserwowaliśmy to przez telekom, ale kąt widzenia był niedobry. Ty nie mogłaś widzieć niczego, oprócz tego, co miałaś nad głową. Nie tylko robot, ale również Cameron mógł dostać się do środka.

— No to mamy następne polowanie — Jordan wyciągnął miotacz. Tylko że tym razem, to my mamy przewagę. Nie ma-

rzę o niczym innym, jak o wycelowaniu w miłego normalnego doktora.

Docchi popatrzył na broń.

— Weź to, ale nie używaj. Zabójstwo zniszczy nas. Będziemy mogli zapomnieć o tym, co chcieliśmy zrobić. W każdy razie nie będziesz tego teraz potrzebował. Statek jest czasowo unieruchomiony i on to weźmie pod uwagę. Będzie gotów się poddać.

I był.

5

Lekarz był na luzie i pewny siebie.

— Macie statek i schwytałicie mnie. Jak długo waszym zdaniem uda się wam to utrzymać?

Docchi potraktował go uprzejmie.

— Nie spodziewam się po panu aktywnej współpracy, ale wolałbym sądzić, że da pan słowo, iż nie będzie nam już przeszkadzał.

Cameron spojrział na miotacz.

— Niczego nie będę obiecywał — oświadczył.

— Możemy go przywiązać do Anti — zasugerował Jordan. — To go powstrzyma od sprawiania dalszych kłopotów.

— Nie bój się, Cameron — powiedział Docchi. — Ona kiedyś była kobietą. Atrakcyjną kobietą.

— Możemy go ubrać w skafander i zablokować rękawy na plecach — powiedział Jordan. — Coś jak staromodny kaftan bezpieczeństwa.

— No to jazda. — Cameron roześmiał się głośno.

— Tym można spawać — powiedział Jordan, machnąwszy miotaczem. — Wsadźmy go do kabiny i zamknijmy drzwi, na stałe. Wytnę szparę do podawania jedzenia, bardzo wąską szparę.

— Wspaniale. Mamy rozwiązanie, Cameron, chce pan jeszcze raz rozważyć swoją decyzję?

Cameron wzruszył radośnie ramionami.

— Złapią was najpóźniej w jeden dzień — powiedział. — Nie skompromituję się tym przyrzeczeniem.

— Mnie to wystarczy — zadeklarowała Anti. — Słowo doktora jest równie dobre jak przysięga... Hipokratesa czy hipokryty?

— Nie bądź cyniczna, Anti — powiedział Docchi. — Lekarze, jak i inni ludzie, też mają zmysł ekonomiczny. Widzi pan — odwrócił się do Camerona — zanim Anti zrobiła się zbyt ciężka dla swojej struktury kostnej, lekarze uważali, że najlepiej jej będzie w stanie nieważkości. To było jeszcze zanim

wynaleziono sztuczną grawitację. Wsadzili ją na statek międzyplanetarny i przynosili przed każdym lądowaniem. To było kłopotliwe i drogie. Wymyślili więc coś innego, asteroidę i zbiornik z kwasem. Nie będąc z natury stworzeniem wodnym, Anti nie była zadowolona ze zmiany. I wciąż nie jest.

— Nie obwiniaj mnie o to — powiedział Cameron. — Nie mam z tym nic wspólnego.

— Jasne, to było, zanim pan się pojawił — przyznał Docchi. Spojrzał na lekarza z zaciekawieniem. — Chciałem zapytać pana wcześniej, ale mieliśmy co innego do ustalenia. Niech mi pan powie, dlaczego się pan roześmiał, gdy Jordan zaproponował skafander?

Cameron uśmiechnął się radośnie.

— Bo to właśnie robiłem, gdy wy byliście zajęci robotem.

— Ale co? Jordan...

Jordan gdzieś wybiegł. Nie było go jakiś czas, minuty miały powoli.

— I co? — zapytał Docchi po jego powrocie. Pytanie było zbyteczne, twarz Jordana wyrażała wszystko.

— Pocięte na paski.

— Wszystkie? Nawet awaryjne?

— Również. Wiedział dobrze, gdzie co jest. Nic nie nadaje się do reperacji.

— No i co z tego? — zahuczała Anti. — Jeśli nic się nie zdarzy i nie będziemy musieli wyjść na zewnątrz, w otwarty kosmos, skafandry nie będą nam potrzebne.

— No właśnie, Anti. Tylko jak wymienimy uszkodzone dysze? Na zewnątrz, oczywiście. Niszcząc skafandry, Cameron upewnił się, że nie będziemy tego mogli zrobić.

— I przypuszczam, że chodziło panu wyłącznie o nasze zdrowie — powiedziała Anti, groźnie spoglądając na lekarza.
— Mam rację, Cameron?

— Myśl sobie, co chcesz — powiedział Cameron, niewzruszony. — Zrobiłem i jeszcze zrobię. A teraz bądźcie rozsądni. Jesteśmy wciąż w pasie asteroid. Samo w sobie nie jest to niebezpieczne. Ale bez możliwości unikania zabłąkanych skał, może być bardzo nieprzyjemne. Moja rada jest, żebyście skontaktowali się natychmiast z Radą Medyczną. Wyślą statek i zabiorą nas stąd.

— Obejdzie się — odparła szorstko Anti. — Nie lubię „Nieba Niepełnosprawnych” tak samo jak pana. Może jestem głupia — odwróciła się do Docchiego — ale co jest niebezpiecznego w poruszaniu się w kosmosie bez skafandra?

— Zimno, próżnia i brak tlenu.

— I to wszystko? Nic więcej?

Mówiła zbyt głośno, jakby chciała go ogłuszyć.

— A to ci nie wystarczy — zapytał.

— Chyba nie. Ale chciałam się upewnić. — Skinęła na Nonę i razem ruszyły w kierunku, gdzie trzymano skafandry.
— Nie róbcie nic drastycznego, dopóki nie wrócę — dodała i wyszła.

Cameron skrzywił się zaintrygowany i ruszyłyby za nimi, gdyby Jordan nie machnął mu przed nosem miotaczem.

— Dobra, dobra, widzę — warknął lekarz, zatrzymując się i pocierając brodę. — Nic nie może zrobić. Wicie to równie dobrze jak ja.

— Czy ja wiem? — mruknął Docchi. — No cóż, przynajmniej raz jestem skłonny zgodzić się z panem. Chociaż z Anti nigdy nic nie wiadomo. Czasami potrafi zaskoczyć

w zdumiewający sposób. Ona nie ma doświadczenia naukowego, ale jest bardzo inteligentna. Jej umysł jest tak dobry, jak kiedyś dobre było jej ciało.

— A jak dobre było? — zapytał ironicznie Cameron.

— Niech pan zajrzy do swoich akt — odparł krótko Jordan. — My sobie tego nie opowiadamy.

*

Kobiety nie wracały przez dłuższy czas, a kiedy w końcu przyszły, Cameron nie był pewien czy niesamowita kreatura wpływająca do sterowni z Noną to rzeczywiście Anti. Gdy przyjrzał się lepiej, zobaczył ze zdumieniem, co ze sobą zrobiła.

— Tobie przydałaby się psychoterapia — powiedział zgryźliwie. — Zarekomenduję to, gdy tylko wrócimy. Nie dociera do ciebie, jak głupio ryzykujesz?

— Spokój — warknął Jordan. — Anti, wyjaśnij nam, co masz na sobie. Nie jestem pewien, czy możemy ci pozwolić to zrobić.

Każde ciśnienie działa na tyle, na ile pozwala zewnątrz ciała — odpowiedziała Anti, zdejmując hełm. — Mechaniczny nacisk jest równie wystarczający, co nacisk powietrza. Wzięłam Nonę, żeby powycinała ze skafandrów paski i owinęła mnie nimi bardzo ciasno. To powstrzyma mnie przed rozbryźnięciem się. Potem znalazłam hełm, który po odcięciu uszkodzonych części pasuje na moją głowę. Nie trzyma za dobrze ciśnienia, nawet po przyklejeniu taśmą uszczelniającą do mojej skóry. Ale nie musi, o ile będzie to czysty tlen.

— Na razie brzmi sensownie — przyznał Docchi. — A co z temperaturą?

— Nie sądzisz chyba, że przejmę się zimnem? — zapytała Anti. — Ja? Pod taką masą ciała? Tymi zwałami?

— Wystarczy — powiedział Cameron, stając przed nią. — Teraz posłuchaj mnie. Skończ z tym wariactwem i zdejmij ten infantylny strój. Nie pozwolę ci zrujnować mojej kariery wymyślnym samobójstwem.

— Ty i twoja śmierdząca kariera — powiedział z niesmakiem Jordan. — Nie wiesz, co to jest sukces i co to znaczy zrezygnować z niego. Nie wtrącaj się. Nie musimy prosić cię o jakiegokolwiek pozwolenia. — Cameron wycofał się przed miotaczem, a Jordan zwrócił się do Anti. — Anti, czy ty rozumiesz, jakie jest ryzyko? Zdajesz sobie sprawę, że to może w ogóle nie zadziałać?

— Przemysłałam to — odpowiedziała Anti. — Ale pomyślałam też o asteroidzie. Nie chcę tam wracać.

— Musimy mieć kamery na zewnątrz — powiedział Docchi. — Jedną bezpośrednio na rufie i po jednej z każdej strony. Przynajmniej będziemy wiedzieli, co się dzieje.

Jordan zaczął przerzucać przełączniki.

— Już są kamery i działają — oznajmił w końcu. — Anti, idź do śluzy towarowej. Uszczelnij swój hełm i czekaj. Wypuszczę powoli powietrze. Jeśli wszystko nie zadziała perfekcyjnie, powiedz mi przez radio w hełmie, przerwę to natychmiast. Gdy już znajdziesz się na zewnątrz, dam ci dalsze instrukcje. Narzędzia i wyposażenie znajdziesz w zasobniku na zewnątrz.

Anti, kołysząc, oddaliła się. Ogromna, choć nie większa od swojej determinacji.

Gdy tylko wyszła, Jordan skierował oczy w dół, na swoje beznogie ciało.

— Nienawidzę tego, ale musimy być realistyczni.

— To jest nasza jedyna szansa — odpowiedział Docchi.

— Tylko Anti może to zrobić. I myślę, że ona to przeżyje.

Jordan wyregulował aparaturę.

— Lepiej dla Camerona, żeby to zrobiła — mruknął — bo jak nie, to wyślę go za nią.

Docchi spojrział pospiesznie na ekran. Anti wisiała swobodnie w przestrzeni, owinięta paskami pociętego, prawdopodobnie bezużytecznego skafandra. Poza tym była zapakowana w więcej ciała niż jakikolwiek człowiek urodzony na Ziemi. Hełm na głowie miała beztrąsko przyklejony taśmą, a na plecach butlę z tlenem. I żyła.

— Co z nią? — zapytał z niepokojem nieświadomy tego, że mikrofon jest włączony.

— W porządku — padła odpowiedź, słaba i świszcząca.

— Powietrze jest rzadkie, ale czyste.

— Zimno?

— Nie wiem. Nie czuję jeszcze. W każdym razie nie może to być gorsze od kwasu. Co mam zrobić?

Jordan przekazał jej instrukcję, a pozostali przyglądali się. Znalezienie odpowiednich narzędzi i sprawdzenie dysz pod kątem uszkodzeń, poluzowanie, wyjęcie z gniazd i odrzucenie w przestrzeń wymagało sporego wysiłku. Jeszcze trudniejsza była wymiana ich w warunkach nieważkości, trzymając się kadłuba za pomocą magnesów.

Anti nigdy nie była technikiem jakiegokolwiek rodzaju. Cameron był tego pewien. Była ignorantką w zakresie najprostszej terminologii i najprostszyc narzędzi. Nie powinna

była dać sobie z tym rady. A przecież zrobiła to doskonale, choć sama nie wiedziała jak. Wyjaśnienie musiało leżeć w tym, iż wiedziała, że kiedyś, w odległej przeszłości, o czym jego całkowicie nie poinformowano, odbyła przeszkolenie przygotowujące ją do tego. To był jakiś absurd. Niemniej ruchy nabrały rytmu, ruchy gigantycznej bezkształtnej kreatury, której kości połamałyby się pod ciężarem własnego ciała, gdyby spróbowała stanąć przy ciężeniu połowy g .

Wieloryb płynący przez głębie i fale ma w sobie jakieś przyciągające piękno. Nie można oczekiwać, że w przypadku innych stworzeń w ich naturalnym środowisku będzie inaczej. Ludzka rasa wytworzyła nieoczekiwanie jednego nieprawdopodobnego osobnika, dla którego przestrzeń kosmiczna nie była obca. Anti znalazła się w końcu w swoim żywiole.

— Dobrze — powiedział Jordan, powstrzymując napięcie w swoim głosie i próbując opanować drżenie rąk. — Wróć do zewnętrznego przedziału narzędziowego. Znajdziesz obok niego dźwignię. Pociągnij ją. To wsunie głowice komór spalania na miejsce.

— Zrobione — powiedziała Anti po chwili.

— To wszystko. Wracaj.

Ruszyła nieśpiesznie wokół kadłuba w kierunku rampy towarowej, a Jordan chował kamery. Zanim jeszcze zewnętrzny właz został zamknięty i powietrze ze świstem wypełniło służę, on już czekał na nią przed włazem wewnętrznym.

— Wszystko jest w porządku? — zapytał szorstko.

Anti ściągnęła hełm. Na brwiach miała szron, ale jej twarz była pogodna i zaczerwieniona.

— A czemu miałyby nie być? Ręce mi nie zmarzły. — Ściągnęła ogrzewane rękawice i pomachała palcami.

— Trudno uwierzyć — zaprotestował Cameron bardziej gwałtownie niż chciał. — Powinnaś być cała zamarznęta.

— A dlaczego? — zapytała Anti krztusząc się ze śmiechu. — To wyłącznie sprawa izolacji, a ja mam jej aż nadto. Więcej, niż bym chciała.

— Gdy byłem dzieckiem, widziałem film o tancerce — Cameron, potrząsając głową, zwrócił się do Docchiego. — To był balet. Chyba miał tytuł *Swobodna Przestrzeń* czy *Swobodne Życie*, czy coś w tym rodzaju. Nie wiem dlaczego, ale przypomniał mi się teraz, gdy Anti była na zewnątrz. Przez lata o tym nie myślałem. — Potarł dłonią czoło. — Zafascynowało mnie wtedy od pierwszego razu. Oglądałem to w kółko. Gdy byłem starszy, dowiedziałem się, że tancerce wydarzył się tragiczny wypadek. Była na tournée na Wenus i jej statek miał awarię. Ekipy poszukiwawcze nie zdołały odnaleźć nikogo oprócz niej. Przez tydzień walczyła na zagrzybionej równinie o przetrwanie. Wicie, co to znaczy. Wielka balerina była dla spor żywym medium hodowlanym.

— Zamknij się już — powiedział Jordan. — Zamknij.

Cameron zagłębił się we wspomnienia i wydawał się tego nie słyszeć.

— Oczywiście umarła — kontynuował. — Nie przypominam sobie jej imienia, ale nie mogę zapomnieć tańca. A co zabawne, Anti tam na zewnątrz skojarzyła mi się...

— Mówiłem ci, zamknij się! — Pięść Jordana wystrzeliła w kierunku twarzy lekarza. Gdyby za nią było coś więcej niż tylko ramiona i fragment ciała, szczeka Camerona uległaby złamaniu. Ale ponieważ było to w stanie nieważkości, został tylko odepchnięty i uderzył w ścianę.

Lekarz uniósł się ze złością.

— Dałem słowo, że nie będę robił kłopotów. Ale myślę, że umowa obowiązuje obie strony. — Spojrzał znacząco na broń Jordana. — Lepiej miej to zawsze przy sobie.

— Mówiłem ci — powiedział Jordan. — Mówiłem ci więcej niż raz. — Odwrócił się do Anti, ignorując lekarza i chowając broń bezpiecznie w ubraniu. — W porządku — powiedział uprzejmym głosem, bez śladu złości — to była doskonała robota. Jedna z twoich najlepszych, Antoinette.

— Trzeba było mnie widzieć, gdy byłem w tym dobra — odpowiedziała. Szron na jej brwiach stopił się i ściekał kroplami po policzkach. Wyszła z Jordanem.

Cameron pozostał z tyłu. Ta sprawa rokowała bardzo źle dla jego ambicji. Wiedział, że przez ich ucieczkę z „Nieba Niepełnosprawnych” nigdy nie osiągnie spektakularnego sukcesu, jaki sobie kiedyś wyobrażał. Zrobił wszystko, co mógł, żeby temu przeszkodzić, ale dla Rady Medycznej dobre chęci nie miały znaczenia. Wciąż gdzieś będzie chyba mógł praktykować; lekarze są zawsze potrzebni. Najgorzej, jeśli zostanie zmuszony do porzucenia medycyny?

A ta balerina, o której opowiadał, wcale nie umarła, jak twierdziły taśmy historyczne. To było tylko na pokaz; ludzie mieli uwierzyć, że umarła, bo taka prawda była preferowana. Dla tej kobiety lepiej byłoby umrzeć. Przypomniał sobie teraz jej imię: Antoinette.

To była Anti. Mógłby to sprawdzić, przeglądając akta. O ile ta informacja była w aktach „Nieba Niepełnosprawnych”. Nagle zapragnął, żeby jej tam nie było. Poczuł w szczęce pulsującą ból. Zasłużył sobie. Tak naprawdę nie był przekonany, czy powinien uważać ich za ludzi.

*

— Będziemy się trzymać regularnych tras — zdecydował Docchi. — Myślę, że przedostaniemy się bliżej. Nie mają powodów, żeby uważać, iż kierujemy się ku Ziemi. Bardziej logiczny byłby Mars, któryś z księżyców Jowisza, lub inna asteroida. Jestem pewien, że nie wiedzą, co zamierzamy.

— Jestem przeciwny — Jordan szarpnął się z niepokojem. — Złapią nas, zanim będziemy mieli szansę na zrobienie czegokolwiek.

— Niczym się nie różnimy od zwykłych rakiet Ziemia-Mars. Mamy rejestr statków na pokładzie. Skorzystajmy z niego. Znajdźmy jakiś statek tej samej klasy, co nasz i podszijmy się pod niego. Jeśli kontrola ruchu nas namierzy, choć nie wierzę, żeby tak się stało, dopóki nie spróbujemy gdzieś lądować, spreparujemy sobie jakiś meldunek. Na przykład coś takiego: „ME 21 świst trzask 9 zgłasza się. Mam problem z łącznością. Kontrola, nie słyszę cię.” Biorąc wiek i stan naszego statku, będzie to brzmiało całkiem prawdopodobnie. Nie przesadzź tylko z efektami akustycznymi. Jeśli będziesz powtarzał je w odpowiednich wariacjach, to myślę, że nie będą nam się naprzykrzać.

Jordan potrząsnął z powątpiewaniem głową i odpłynął w kierunku małego warsztatu.

— Wydajesz się martwić — powiedziała Anti, wchodząc.

— No — odrzekł Docchi, nie odwracając się.

— O co chodzi? To nie podziała?

— Podziała. Tu jest za dużo statków. W tym tłumie nas nie zauważą. Poza tym nie szukają nas w okolicach Ziemi. Oni w ogóle nie wiedzą, po co wzięliśmy ten statek i uciekliśmy.

— To czemu się tak martwisz? Jak już będziemy w pobliżu Ziemi, nie będziemy potrzebować zbyt wiele czasu.

— Też tak z początku sądziłem — powiedział Docchi. Twarz miał spiętą i wyglądał na zmęczonego. — Ale wszystko się zmieniło. Cała solarna policja została zmobilizowana z naszego powodu.

— Naprawdę! Cała Policja Solarna nas szuka? Wciąż jednak nie rozumiem, co to zmienia?

— Spójrz! Chcieliśmy ominąć Radę Medyczną i skierować naszą sprawę bezpośrednio do Rządu Solarnego. Ale jeśli chcą nas złapać tak bardzo, jak to mówi radio, to znaczy, że nie mają zamiaru być mili. Wcale.

A w takiej sytuacji, jeśli Rząd Solarny nas nie poprze, już nigdy nie dostaniemy drugiej szansy. A na asteroidzie będą odtąd wszędzie strażnicy. Będą nas pilnować nawet w czasie snu.

— No to co? — powiedziała Anti. Wydawała się teraz szczuplejsza i bardziej ruchliwa. — Braliśmy pod uwagę, że tak się to może potoczyć. Zróbmy więc i ostatni krok na początku.

Docchi podniósł głowę.

— Chcesz odwołać się do władzy ostatecznej? Rządowi Solarnemu to się nie spodoba.

— Nie spodoba, ale nic nie będą w stanie zrobić.

— Nie bądź taka pewna. Mogą nas zestrzelić. Po kradzieży statku staliśmy się automatycznie kryminalistami.

— Wiem, ale będą ostrożni, zwłaszcza gdy nawiążemy kontakt. Jak to by wyglądało, gdybyśmy zostali rozwaleni na kawałki na oczach wszystkich ludzi?

Docchi zachichotał ponuro.

— Bardzo sprytnie. No dobrze, będą ostrożni. Tylko czy to jest coś warte dla nas?

— Dla mnie jest.

— No to dla mnie też. W takim razie zacznijmy się przygotowywać.

Anti przyjrzała mu się krytycznie.

— Chyba powinniśmy cię jakoś podrasować.

— Fałszywymi rękami i zestawem do makijażu? Nie. Muszą wziąć nas takich, jacy jesteśmy, brzydkich, a nawet odpychających.

— Dobry pomysł. Nie brałam pod uwagę tego, że można by spróbować wzbudzić sympatię.

— Nie, nie, ograniczmy się do rzeczywistości. To ma dla nas zbyt duże znaczenie. Nie chcę, żeby zaaprobowali nas, jako przystojnych pechowców, a potem zmienili zdanie, gdy zobaczą, jak wyglądamy naprawdę.

Gdy odchodziła, Docchi w milczeniu odprowadził ją wzrokiem. Przynajmniej ona na tym skorzysta. Dr Cameron najwyraźniej nie zauważył, że wystawienie się na ekstremalne zimno znacznie lepiej zahamowało jej nieustanny wzrost niż kąpiel w kwasie. Prawdopodobnie nigdy już nie dojdzie do swego pierwotnego wyglądu, ale pewnego dnia, jeśli terapia zimnem zostanie odpowiednio przebadana, być może będzie mogła stanąć na nogach przy normalnym ciążeniu. Dla niej była nadzieja. Pozostali musieli udawać, że ją mają.

Sprawdził telekom. Byli coraz bliżej. Ziemia nie była już świecącym punktem, lecz stała się wyraźnym dyskiem. Mógł odróżnić zarys oceanów, kształt lądów i cienie gór, spłaszczone zmarszczki prerii i równin; mógł wyobrazić sobie ludzi. To był dom – kiedyś.

Wszedł Jordan.

— Taśma z nagraniem jest gotowa. Nie musiałem jej jeszcze użyć. Niemniej za rufą mamy przyjaciela, oficjalnego przyjaciela.

— Namierzał nas?

— Zanim wyszedłem, nie. Ale nie rezygnuje.

— Wyprzedza nas?

— Chciałby.

— Nie pozwól mu.

— Tym złomem?

— Rozwał go, jeśli musisz — rzekł Docchi niecierpliwie.

— Kiedy będziesz mógł wejść na orbitę nadawania?

Jordan zmarszczył czoło.

— Myślałem, że nie planujemy tego teraz. To miało być w ostatecznej sytuacji.

— Anti i ja przedyskutowaliśmy to. Zgodziliśmy się, że to jest nasza ostatnia szansa. Jak masz jakieś obiekcje, to mów.

— Słuchałem komunikatów policyjnych — powiedział Jordan w zamyśleniu. — Nie, chyba nie mam żadnych obiekcji. Nie z tym ciężkim krążownikiem za rufą. Żadnych.

Poszli razem do sterowni.

— Nie chcę, żeby uwaga była skierowana wyłącznie na mnie — stwierdził Docchi. — Ani na Nonę, chociaż wiem, że ona jest najbardziej akceptowalna. Powinniśmy unikać efektu zdjęcia rodzinnego. Dla świata ludzi pięknych i doskonałych możemy wyglądać dziwnie, niemniej muszą nas zobaczyć takimi, jacy jesteśmy naprawdę.

— Jako próbki — zasugerowała Anti.

— Tak, w takim sensie, w jakim nimi jesteśmy. Wiele zależy od tego, czy oni te próbki zaakceptują.

Cameron po raz pierwszy zaczął sobie zdawać sprawę



z tego, co mają zamiar zrobić.

— Czekajcie — powiedział z naciskiem. — Robicie błąd. Musicie mnie wysłuchać.

— Mam już tego dosyć — powiedział Jordan. — Musimy zrobić to, musimy tamto. Nie rozumiesz, że teraz my wydajemy polecenia?

— Racja — powiedział Docchi. — Jordan, dopilnuj, żeby Cameron nie zbliżał się do stanowiska nadawania i nie przeszkadzał. Zaszliśmy z tym już za daleko, żeby pozwolić mu się mieszać.

— Jasne. Jeśli tylko się odezwie, wytopię mu zęby z ust — Jordan trzymał miotacz przy boku z dala od telekomu, ale wycelowany w Camerona.

Lekarz chciał coś powiedzieć, ale broń, choć niewielka, była bardzo prawdziwa, a Jordan był zdecydowany jej użyć. Było to jedyne usprawiedliwienie jego milczenia. To i fakt, że i tak dostaną nauczkę.

— Gotowe? — zapytał Docchi.

— Włącz i zaczynamy. Wszystko już ustawiłem. Nic nie poradzą. Muszą wysłuchać.

Rakieta zeszła ze ścieżki podejścia. Plując ogniem z głównych dysz, skręciła w dół i opadła ku Ziemi ciasną trajektorią. Leciła w dół, coraz niżej; rodzima planeta była taka wielka.

— Obywatele Układu Słonecznego, wszyscy ludzie na Ziemi — zaczął Docchi. — To jest nieplanowany przekaz. Używamy częstotliwości awaryjnej, gdyż dla nas jest to sytuacja awaryjna. Powiedziałem my, a wy pewnie chcielibyście wiedzieć kto. Spójrzcie na nas. Powypadkowi – to wszystko, czym wolno nam być.

Nie jesteśmy piękni. Wiemy o tym. Ale są od tego ważniejsze rzeczy, spełnienie się, udział w postępie. I chociaż może się to wydawać wam nierealne, są rzeczy, które możemy zrobić. Jeśli nam się na to pozwoli.

Zamknięci na małej asteroidzie, jesteśmy pozbawieni naszych praw. Jedyne, co możemy, to żyć we frustracji i nudzie, utrzymywani przy życiu, czy tego chcemy, czy nie. A przecież możemy pomagać wam, tak jak wy pomagacie nam. Jeśli się nam pozwoli. Nie możecie polecieć do gwiazd, a my możemy.

W ostatecznym rozrachunku to, co poznamy, wy poznacie również.

Uwierzyliście specjalistom mówiącym, że to jest niemożliwe, że rakiety są zbyt wolne i że załoga wymrze ze starości, zanim zdąży powrócić. Częściowo mają rację – częściowo, gdyż powypadkowi są tutaj wyjątkiem. Zwykli ludzie wymrą, a my nie. Rada Medyczna zna te fakty, wie jacy jesteśmy, a mimo to wciąż nam odmawia.

Cameron szarpnął się w sterowni, chcąc zaprotestować. Jordan spojrzał na niego i niezauważalnie pokiwał bronią. Cameron powstrzymał się w milczeniu.

— Chodzi o biokompensację — kontynuował Docchi tak, jakby nic się nie wydarzyło. — Pozwólcie, że wyjaśnię, co to znaczy, jeśli wiedza na ten temat została zastrzeżona. Podstawy biokompensacji długo leżały w sferze domysłów. Dopiero w tym stuleciu techniki medyczne stały się na tyle zaawansowane, żeby ją przebadać. Każda komórka, każdy organizm dąży do przetrwania zarówno jako pojedynczy osobnik, jak i cały gatunek. Zraniony, będzie starał się przeżyć odpowiednio do zakresu uszkodzeń. Jeśli może, leczy rany i żyje jak dotychczas. W przeciwnym przypadku rozsiewa się niemal natychmiast. Możecie to sprawdzić, gdy zapomnicie o podlaniu trawnika. Zobaczycie wtedy, jak szybko zacznie się kłócić.

Powiecie, że ludzie to nie rośliny. Tak, ale zasada wciąż obowiązuje. Powypadkowi są ludźmi, którzy zostali okaleczeni i zdeformowani w stopniu niemal nie do uwierzenia. Nasze ciała zostały wspomóżone wiedzą medyczną, prawdziwą nauką medyczną. Wszyscy wiedzą, że po niektórych chorobach uzyskuje się odporność na nie. I nie tylko krew bierze udział w tym procesie. Krew dostarczano nam tak długo, jak długo

była potrzebna, maszyny oddychały za nas, zastępowały nerki, wspomagały serca, dostarczały substancji wytwarzanych przez gruczoły dokładnie w wymaganych ilościach; nasze systemy nerwowe i mięśniowe zostały zregenerowane... i nasze ciała na to odpowiedziały. Musiały odpowiedzieć, gdyż inaczej żadnego z nas by tu nie było. Te zmagania były tak ekstremalnie ogromne – byliśmy tak blisko śmierci, że w praktyce całkowicie się na nią uodporniliśmy.

Po twarzy Docchiego pociekły krople potu. Tęsknił za rękami, żeby móc je obetrzeć.

— Większość powypadkowych jest prawie nieśmiertelna — mówił dalej. — Nie całkowicie, oczywiście – możemy umrzeć za czterysta, pięćset lat. I nie ma powodu, żebyśmy w tym czasie nie mogli być waszymi badaczami. Rakiety są powolne. Wy byście nie dożyli powrotu z podróży do Alfy Centaura. A my powrócimy. Czas nie ma dla nas znaczenia.

Być może, gdy już wyruszymy, zostaną wynalezione szybsze rakiety. Może dotrzecie tam przed nami. Nie dbamy o to. Postaramy się odwdzińczyć wam najlepiej, jak potrafimy i to nas zadowoli.

Docchi uśmiechnął się z wysiłkiem. W chwili, gdy to zrobił, już wiedział, że to błąd, nie do odrobienia. Nawet jemu samemu wydało to się warknięciem.

— Wiecie, gdzie nas trzymają — powiedział. — Brzmi to lepiej niż powiedzieć: więżą. My tego miejsca nie nazywamy „Niebem Niepełnosprawnych”. My je nazywamy *śmietnikiem*. A sami jesteście *śmieciami*. Wyobrażacie sobie, jak się z tym czujemy?

Nie wiem, jak przekonacie Radę Medyczną, by pozwoliła nam polecieć do gwiazd. Prosiliśmy już wielokrotnie, a oni

zawsze odmawiali. Teraz, gdy powiadomiliśmy o tym was, sprawa jest w waszych rękach. Nasza przyszłość jako ludzi jest zagrożona. Rozważcie to w waszych sumieniach. Gdy będziecie się kładli spać, pomyślcie o nas, o tych na śmietniku.

Trącił wyłącznik i usiadł. Twarz miał szarą, a oczy czerwone i podkrążone.

— Nie chciałbym ci zawracać głowy — powiedział Jordan — ale co zrobimy z nimi?

Docchi spojrział na ekran. Statki były nieprzyjemnie blisko i było ich znacznie więcej niż wtedy, gdy widział je po raz ostatni.

— Spróbuj im się wymknąć — powiedział zmęczonym głosem. — Podejź blisko planety i wykorzystaj jej grawitację do wejścia na orbitę umożliwiającą nam szybki odlot. Nie możemy pozwolić, żeby schwytali nas, zanim ludzie zdołają wyrazić swe uczucia.

— Teraz, gdy już skończyliście, chciałbym z wami porozmawiać — powiedział Cameron. W jego głosie brzmiały jakieś dziwne tony.

— Później — powiedział Docchi. — Daj sobie spokój. Idę spać. Jordan, obudź mnie, gdy coś się wydarzy. I pamiętaj nie musisz go słuchać, jeśli nie chcesz.

— Znam go dobrze. — Jordan pokiwał pogardliwie głową. — On nie ma mi nic do powiedzenia.

Nona opierała się o tablicę przyrządów, nie zwracając na nich uwagi. Wydawała się nasłuchiwać czegoś, czego nikt inny nie mógł usłyszeć. Ona, dla której dźwięki nie miały znaczenia. Docchi przygarbił się i wyszedł. Nieustanne wrażenie rozczarowanego przez Nonę zaciekawienia rzeczami dla niej nieosią-

galnymi nie było niczym nowym, ale teraz robiło się całkiem nieznośne.

*

Podczas gdy Docchi spał, pogoń, na tle powoli zmieniającego się tła gwiazd i planet, nie ustawała. Jedynie ciemność była ta sama – niezmienna. Małe plamki światła, z godziny na godzinę zbliżające się coraz bardziej, nie wydawały się radować Jordana. Zacisnął wargi w cienką linię. Twarz mu zastygła w bezruchu. Teraz, gdy Ziemia dawno już została daleko w tyle, usłyszał, że Docchi wchodzi do sterowni.

— Właśnie o tym myślałem — rozległ się głos Camerona. — Ładna przemowa. — Stał na progu.

— Ehe — Docchi spojrział na ekran. Widok nie skłaniał do komentarzy.

— No cóż, mogę ci to powiedzieć — zaczął z niechęcią Cameron. — Próbowałem powstrzymać nadawanie, gdy tylko zorientowałem się, co chcecie zrobić. Ale nie posłuchaliście. — Wszedł do sterowni. Nona leżała zwinięta na fotelu, jej twarz nie wyrażała absolutnie niczego. Anti była nieobecna; uzupełniała kwas w swoim płaszczu. — Wiecie dlaczego Rada Medyczna nie pozwoliła wam lecieć?

— Może do rzeczy.

— Szlag by to, przecież mówię — warknął Cameron, wyraźnie się pocąc. — Układ Centaura zawiera kilka planet. Ile, nie wiemy. Z tego, co już wiemy na temat kosmologii, wynika spore prawdopodobieństwo istnienia tam inteligentnego życia, prawdopodobnie nie gorzej od nas zaawansowanego technicznie. Ktokolwiek tam poleci, będzie nas reprezentował u obcej cywilizacji. Wygląd tamtych nie jest ważny; to ich

sprawa. Ale nasi przedstawiciele muszą odpowiadać minimalnym standardom. To wydarzenie byłoby ważne, od niego zależałyby przyszłe relacje. Szlag by to, nie rozumiecie? Nasi ambasadorzy muszą przynajmniej wydawać się istotami ludzkimi?

— Nie mówisz nam nic nowego. Wiemy, co czujesz. — Jordan był pełen obrzydzenia.

— Mylisz się — odrzekł Cameron — strasznie się mylisz. Nie mówię o sobie. Ja jestem lekarzem. Radcy medyczni, to też lekarze. Przeszczepiamy nogi, ręce, oczy. Naszymi narzędziami są krew, kości i narządy wewnętrzne. Wiemy bardzo dobrze, jak człowiek wygląda w środku. Mamy świadomość cienkiej linii dzielącej normalnych mężczyzn i kobiety od powypadkowych.

Wy wciąż tego nie rozumiecie? Oni są doskonali, wszyscy. Przewspaniali. Nie są w stanie tolerować żadnych wad. Więcej pieniędzy wydaje się na badanie pryszczki niż na naszą całą asteroidę. Gnają do nas ze zmarszczkami i łupieżem. Zdrowie i wygląd stały się fetyszem. Możecie sobie myśleć, że ludzie, do których się zwracacie, będą wam współczuć, a tymczasem oni czują całkiem coś innego.

— Do czego pan zmierza? — zapytał cicho Docchi.

— Do tego, że gdyby to zależało od Rady Medycznej, już byście lecieli do Centaura. Ale nie zależy. To nie my podejmujemy decyzję. Tym razem przyszła ona prosto od Rządu Solarnego. A Rząd Solarny nigdy nie robi nic wbrew opinii publicznej.

Docchi odwrócił się, krzywiąc twarz ze wstrętem.

— Nie sądziłem, że będzie miał pan czelność stanąć tu i to powiedzieć.

— Wcale tego nie chciałem. Musicie jednak znać prawdę — Cameron potrząsnął głową z zakłopotaniem. — Nie jesteście zbyt daleko od Ziemi. Wciąż możecie sprawdzić reakcję w mediach. Zróbcie to, a zobaczycie.

Jordan spojrział na Docchiego, który skinął niedostrzegalnie głową.

— Racja, możemy — powiedział Docchi. — To już się dokonało, w tę czy inną stronę. Nic, co możemy zrobić, już tego nie zmieni.

Jordan przeszukiwał pasmo po paśmie, z początku z zapalem. Potem jego entuzjazm opadł, reakcja wszędzie była taka sama. Osoby prywatne czy publiczne, mężczyźni czy kobiety – oburzenie, chociaż skrywane, było wielkie i nieudawane. Niewątpliwie powypadkowi są bardzo nieszcześliwi, ale mają dobrą opiekę. I nie ma żadnej potrzeby, by ciągnąć z kalectwa korzyści, era pokazów dziwołagów minęła i nigdy nie powróci.

— Wyłącz to — zażądał w końcu Docchi.

Jordan tępo spełnił jego żądanie.

— I co teraz? — zapytał.

— Po co się szarpać — powiedział lekarz. — Wracajcie na asteroidę. Wszystko zostanie zapomniane.

— My nie zapomnimy — powiedział martwym głosem Docchi. — Ale chyba nie mamy innego wyboru. Byłoby lepiej, gdybyśmy próbowali przekonać Radę Medyczną. Źle wybraliśmy naszych sprzymierzeńców.

— Zdawaliśmy sobie z tego sprawę — powiedział Cameron. — Uważaliśmy, że lepiej pozwolić wam dalej tak myśleć. Dawało wam to jakąś nadzieję, pozwalało czuć, że nie jesteście

samotni. Kłopot w tym, że wasze niezadowolenie zaprowadziło was dalej, niż przewidywaliśmy.

— Gdzieś dotarliśmy — powiedział Docchi. Gdy już przemyślał sobie to, co osiągnęli, jego odrętwienie wydawało się nieco przemijać. — I nie ma powodu, żeby rezygnować. Jordan, skontaktuj się ze statkiem za rufą. Powiedz im, że mamy Camerona na pokładzie. Zakładnika. Przedstaw go im, jako ich człowieka. W zasadzie on nie jest zły. Nie jest przeciwko nam w takim stopniu jak reszta.

Do sterowni weszła Anti. Radość spełzła z jej oblicza.

— O co chodzi? — zapytała.

— Powiedz jej Jordan, ja muszę pomyśleć.

Docchi zamknął oczy i umysł na szeptane konsultacje Anti i Jordana, i na słabe ultimatum wysłane okrętom za rufą. Rakiet szarpnęła lekko, niemniej wibracje odrzutu się nie zmieniły. Nie było powodu do alarmu, lot statku nigdy nie był całkowicie stabilny. Niewielkie zakłócenia już nie robiły wrażenia.

Gdy już sobie wszystko w głowie uporządkował, Docchi rozejrzał się dookoła.

— Gdybyśmy mieli wystarczająco paliwa i zapasów, byłbym za tym, żeby skierować się od razu ku Alfie lub Proximie. A może nawet ku Syriuszowi. Odległość nie ma znaczenia, bo nie zależy nam na powrocie — powiedział. Było jasne, że nie robi sobie wielkich nadziei. — Z tym, co mamy, nigdzie nie dolecimy. Jeśli zgubimy te statki za nami, możemy się ukryć gdzieś, dopóki nie uda nam się ukraść paliwo i żywność.

— Co zrobimy z doktorem? — Zapytał Jordan. On również został zainfekowany klęską.

— Będziemy musieli najechać niestrzeżoną stację. Mała górnicza asteroida byłaby najlepszym rozwiązaniem. Zabierzemy go tam.

— Jasne — zgodził się apatycznie Jordan. — Dobry pomysł, o ile uda nam się urwać naszej osobistej eskorcie. Tak bez zastanowienia, to myślę, że się nie uda. Gdy im oznajmiłem, że mamy Camerona na pokładzie, to zawahali się przez chwilę, ale nie zwolnili. Sam zobacz — powiedział i również spojrział, po czym z niedowierzaniem wpatrzył się w ekran. Zamrugął szybko oczami, ale ekran mógł pokazać tylko to, co pokazywał.

— Zniknęli — powiedział, a głos załamał mu się z podniecenia.

Docchi natychmiast znalazł się obok niego.

— Nie, wciąż tam są, tylko że bardzo daleko za nami.

Nawet wtedy, gdy patrzył, ścigające ich okręty zmniejszyły się w widoczny sposób, systematycznie zostając z tyłu.

— Skąd taka względna prędkość? — powiedział Jordan. Spojrział na tablicę przyrządów, postukał w nią, walnął w końcu, ale szybkość nie zmieniła się. Gdyby nie potwierdzał tego widok, uważałby, że instrumenty się zablokowały albo stały się całkiem niewiarygodne.

— Co zrobiłeś z silnikami raketowymi? — zażądał wyjaśnienia Docchi.

— Głupie pytanie. Co ja mogłem zrobić? Osiągnęliśmy maksymalne przyspieszenie możliwe dla tej kupy złomu.

Nic nie wyjaśniało tego zdumiewającego zjawiska. Wszyscy byli tutaj, w sterowni, Cameron, Anti, Jordan i on sam. Była tu również Nona, skulona w fotelu, z rękami pod głową. Nie było żadnego wytłumaczenia, chyba że... Docchi jeszcze raz

skontrolował wszystkie instrumenty. I wtedy to dostrzegł – po raz pierwszy.

Moc skierowaną do napędu grawitacyjnego. Bezużyteczny, a przynajmniej długo nie używany wskaźnik wykazywał niesłychane zużycie.

— Napęd grawitacyjny działa — powiedział.

— Nonsens — zaprzeczyła Anti. — Nie czuję ciężaru.

— Nie czujesz i nie poczujesz — powiedział Docchi. — Napęd grawitacyjny został zainstalowany, by napędzać statek. Gdy zostało wykazane, że nie nadaje się do tego, został przerobiony, co wypadło taniej niż wymontowywanie go. Różnica między napędem i zwykłym generatorem grawitacji jest niewielka, ale istotna. *Nieukierunkowane* powszechne pole wytwarza efekt ciężkości wewnątrz statku. Dla wygody pasażerów. *Ukierunkowane* pole na zewnątrz statku, napędza go. Możesz mieć jedno albo drugie, nigdy obu na raz.

— Ale ja nie uruchamiałem napędu — oznajmił oszołomiony Jordan. — Gdybym to zrobił, działałby najwyżej kilka sekund. Tak zostało udowodnione.

— Zgadzam się z tobą, z wyjątkiem jednej rzeczy. On działał, działa i nie ma zamiaru przestać działać — powiedział Docchi, przyglądając się z zaciekawieniem Nonie. Dziewczyna skuliła się, ale nie odpoczywała. Jej ciało było zbyt napięte. — Odwróć jej uwagę — polecił Jordanowi.

Jordan delikatnie dotknął ramienia dziewczyny. Nona otworzyła oczy, ale nie spojrzała na nich. Wskazanie bezużytecznego niegdyś wskaźnika podskoczyło i opadło.

— Co się dzieje z tym biednym dzieciakiem? — zapytała Anti. — Cała się trzęsie.

— Zostaw ją — powiedział Docchi. — Zostaw ją, jeśli nie chcesz wrócić na asteroidę.

Nikt się nie poruszył. Nikt nic nie powiedział. Mijały minuty, a ich archaiczny statek trząsał się i skrzypiał, uciekając przed najszybszymi raketami Układu Słonecznego.

— Chyba mogę to wyjaśnić — powiedział w końcu Docchi, marszcząc brwi, bo wcale nie był tego pewien. Wciąż coś mu umykało. — Częścią systemu generatora grawitacji – jego kluczowym elementem – jest komputer wykonujący wszystkie obliczenia i żonglujący mocą potrzebną do wytwarzania ukierunkowanej i nieukierunkowanej grawitacji w sposób ciągły. Innymi słowy mózg, złożona sztuczna inteligencja. Tyle że ta inteligencja jest ograniczona, nieświadoma powodów, dla których ma wykonywać w nieskończoność skomplikowane i jałowe procedury. Nie rozumie dlaczego, a ponieważ nie rozumie, po prostu odmawia ich wykonywania.

To jest coś podobnego do Nony. Głucha, niema, bez żadnej możliwości komunikowania się. Nona również ma bardzo wysoką potencjalną inteligencję i także w taki sam sposób ma problem z przechwytywanie faktów z otoczenia. Niemniej jest pewna różnica. Nona ma pewien kontakt z ludźmi i czegoś się nauczyła. Ile wie, tego nie jestem pewien, ale jest to daleko więcej, niż przypisują jej psychologowie. Po prostu nie są w stanie określić poziomu jej wiedzy.

— Ehe — powiedział z powątpiewaniem Jordan. — Co do Nony, to mogę się zgodzić. Tylko, co ona robi?

— Gdyby to było dwoje ludzi, nazwałbyś to telepatią — powiedział Docchi. Jemu ta koncepcja również sprawiała kłopot. Maszyna to maszyna – narzędzie użytkowe. Jak może dojść do porozumienia. — Jedna inteligencja jest elektronicz-

na, a druga organiczna. Musicie sobie wymyślić własną terminologię, bo jedyne, co mi przychodzi na myśl, to percepcja pozazmysłowa. To śmieszne, ale to chyba to.

Jordan uśmiechnął się i zgiął ręce. Pod obcisłym ubraniem wyprężyły się mięśnie.

— Dla mnie to ma sens — powiedział. — Moc zawsze tu była, ale nie wiedziano, co z nią zrobić. — Jego uśmiech poszerzył się. — To nie mogło się dostać w lepsze ręce. Potrafimy tę moc wykorzystać... To znaczy Nona potrafi.

— Moc? — zapytała Anti unosząc się majestatycznie. — Jeśli masz na myśli to, na co to wygląda, to ja o to nie dbam. Chcę jedynie, by zabrała nas do Centaura.

— Dostaniesz się tam — powiedział Docchi. — Mnóstwo rzeczy wydaje się teraz prostsze. Dlaczego w przeszłości ten napęd działał coraz słabiej wraz z odległością od Słońca? Nie sądzę, by ktokolwiek badał ten aspekt, ale jeśli tak, to jestem pewien, że stwierdzono, iż wydajność jest odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości. Tego powinno się oczekiwać po głuchym, ślepym, czułym na masę mózgu; po komputerze grawitacyjnym. Pewno nie ma świadomości istnienia gwiazd. Dla niego słońce wydaje się być centrum wszechświata i tak samo obawia się opuścić układ, jak nasi odlegli przodkowie bali się spaść po przekroczeniu krawędzi płaskiej ziemi. A teraz, gdy już zna różnicę, powinien działać wszędzie. Z Noną sterującą nim, nawet Syriusz nie jest zbyt daleko.

— A co pan sądzi, doktorze? — zapytał bez troski Jordan. — Na pana miejscu starałbym się wydostać ze statku. Niech pan pamięta, że poruszamy się szybciej niż jakikolwiek człowiek do tej pory. — Zachichotał. — O ile oczywiście nie polubił pan naszego towarzystwa i nie chce z nami pozostać.

— Powinniśmy się zastanowić — powiedział Docchi. — Nie ma sensu lecieć tam, gdzie nie ma gwiazd. Powinniśmy ustalić kierunek podróży.

— Dobry pomysł — orzekł Jordan, podciągając się w poblize map. Pogrążył się w niekończących obliczeniach. Stopniowo jego ruchliwe palce spowolniały, a głowa pochyliła się niżej nad zadaniem. W końcu skończył, opuszczając luźno ramiona.

— Masz?

— No — odrzekł. — Tam. — Stuknął niedbale w telekom i na ekranie pojawił się obraz. W centrum błyszczał niewielki świat, fragment dawno temu rozerwanej planety. Koniec ich podróży był łatwy do rozpoznania.

To było „Niebo Niepełnosprawnych”.

— Po co my tam lecimy? — zapytała Anti. Popatrzyła na Docchiego ze zdumieniem.

— Nie lecimy tam dobrowolnie — odpowiedział płaskim i zmęczonym głosem Docchi. — Tam nas chce mieć Rada Medyczna. Zapomnieliśmy o systemie monitorującym. Gdy Nona aktywowała napęd grawitacyjny, jakaś centralna stacja to odebrała. Jedyne, co Rada Medyczna musiała zrobić, to przejąć kontrolę od Nony.

— Myśleliśmy, że uciekamy tym statkom — powiedziała Anti — i uciekliśmy, ale tylko po to, by zdążyć przed nimi na tę kupę złomu.

— Na to wygląda — przyznał Docchi.

— No cóż, w takim razie to koniec. Zrobiliśmy, ile się dało. Nie ma co teraz płakać — stwierdziła Anti, chociaż zbierało jej się na łzy. Mijając Nonę, poklepała ją po plecach i dodała: — W porządku, kochanie. Próbowalaś pomóc.

Jordan wyszedł za nią. Cameron, który pozostał w sterowni, podszedł do Docchiego.

— Nie wszystko stracone — powiedział zakłopotany. — Znaleźliście się w punkcie wyjścia, ale przynajmniej dla Nony wszystko się zmieni.

— Myśli pan, że coś dobrego dla niej z tego wyniknie? — zapytał Docchi. — Może dla kogoś, ale nie dla niej.

— Mylisz się. Ona nagle stała się bardzo ważna.

— Tak, zostanie eksperymentalną maszyną. Bardzo cenną, ale całkowicie pozbawioną praw i uczuć. Wątpię, czy polubi swój nowy status.

Zapadła cisza. Pierwszy przerwał ją lekarz.

— Nie możesz przeżyć porażki — stwierdził brutalnie. — Zawsze, gdy tak świecisz, nie myślisz racjonalnie. Myślałem, że porozmawiamy na temat tego, co byłoby dla niej najlepsze, ale widzę, że to nie ma sensu. Wróć, gdy się już uspokoisz.

Docchi rozbłysnął nieprzyjemnie. Cameron był jedynym normalnym, który wiedział, że to Nona kontrolowała napęd grawitacyjny. Cały zewnętrzny świat zdał sobie jedynie sprawę z tego, że to w końcu działa zgodnie z pierwotnymi założeniami. Gdyby teraz pozbyć się Camerona...

Potrząsnął głową. To by niczego nie rozwiązało. Przez jakiś czas mógłby ich zwodzić, sobie przypisując zasługę. W końcu jednak i tak wszystko się wyda. Nona nie była zdolna do podstępów, a oni będą bardzo zdeterminowani, by wyjaśnić odkrycie tej rangi.

Nona spojrzała w górę i uśmiechnęła się. Miała prawo być zadowolona. Dotychczas była samotna jak nikt nigdy dotąd. Ale teraz pierwszy kontakt został wykonany i jakkolwiek niesatysfakcjonujący (bo cóż mógł jej powiedzieć ograniczony

sztuczny mózg?), gdyby nie okoliczności, mógłby zapowiadać lepsze dni. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest w takim samym stopniu pozbawiona wolności jak komputer.

Docchi gwałtownie odwrócił się. Stanął przed telekomem i metodycznie kopiąc, zniszczył go, rozdeptując delikatne elementy na pył. Zanim wyszedł zniszczył również radio awaryjne. Statek był mocno trzymany przez system monitorujący, wiodący ich z powrotem. Nie mieli tu już nic do roboty. Jedyne, co mu pozostało, to chronić Nonę tak długo, jak to możliwe. Rada Medyczna i tak wkrótce zacznie gmerać w jej głowie. Miał nadzieję, że znajdą to, co chcą, bez większego wysiłku. Miał tę nadzieję ze względu na jej dobro.

6

Zewnętrzna powłoka, perfekcyjnie zsynchronizowana z prędkością statku, otworzyła się i zamknęła za nimi, zanim zbliżyli się do wewnętrznej powłoki. Ta również otwarła się szeroko, połykając ich, po czym zamknęła się szybko jak sprawnie działająca pułapka. Jordan ustawił stery w pozycji

neutralnej i opuścił ręce, mrużąc coś do siebie. Wślizgnęli się i zatrzymali w doku, powoli osiadając. Wrócili do domu.

— Nie martwcie się — powiedział beztrąsko Cameron.
— Nie jesteście więźniami.

Jedynie Nona wydawała się niczym nie przejmować. Docchi od kilku godzin nie odezwał się ani słowem, a jego twarz przestała świecić. Anti nie było z nimi; wróciła do swojego zbiornika z kwasem. Było to konieczne z uwagi na pole grawitacyjne asteroidy.

Statek otarł się o coś łagodnie; wylądowali. Jordan mechanicznie wcisnął dźwignię, przerzucił przełączniki. Włazy, pasażerski i towarowy, stanęły otworem.

— Chodźmy — powiedział Cameron. — Myślę, że czeka na nas komitet powitalny.

Nawet on był zaskoczony tym, co zobaczyli. W niewielkiej kopule portu było więcej statków, niż zwykle zawija tu przez cały rok. Precyzyjny bałagan wojskowej dyscypliny dawało się odczuć w każdym miejscu. Uzbrojeni wartownicy stali po obu stronach rampy, a nieco dalej widać było oddziały wojska. Było niemal zabawne, jak bardzo niebezpieczni wydają się Radzie Medycznej.

Na końcu rampy ustawiono wielki telekom. Jeśli rozmiar coś znaczył, ktoś mógłby pomyśleć, że to jest jakieś nadzwyczajne wydarzenie. Z ekranu, w rozmiarze większym niż naturalny, spoglądał z aprobatą radca medyczny Thorton.

— Dobra robota, doktorze Cameron — powiedział, gdy pochód ze statku zatrzymał się. — Byliśmy bardzo zaskoczeni ucieczką naszych powypadkowych i pana jednoczesnym zniknięciem. Jeśli udało nam się poskładać te kawałki do kupy,

zrobił pan to umyślnie. Piękny przykład szybkiej orientacji, doktorze. Zasługuje pan na uznanie.

— Pomyślałem sobie, że to moja wina, iż pozwoliłem im zabrnąć tak daleko. Musiałem ich powstrzymać.

— Nie wątpię, że tak było. Ale pan odpokutował... odpokutował pan. Przepraszam, że nie mogę być tam osobiście, by panu pogratulować, ale wkrótce przybędę. — Radca medyczny zawahał się. — Z początku opinia publiczna była zła, bardzo zła. Doszliśmy do wniosku, że niemądrze byłoby ukrywać wszystko. Oczywiście przekaz spowodował, że ukrywanie czegokolwiek stało się niemożliwe. Szczęśliwie w samą porę pojawiło się odkrycie napędu grawitacyjnego. Gdy to ogłosiliśmy, sympatie zaczęły się przechylać na naszą stronę. Nie będę przed panem ukrywał, że ogólny wynik jest dla nas korzystny.

— Miałem nadzieję, że tak będzie — powiedział Cameron. — Nie chcę, żeby stała się im jakaś krzywda. Oni wszyscy są tacy narażeni na ciosy. Zwłaszcza Nona, ze względu na jej stan. Zastanawiałem się trochę, jak do niej podejść...

— Jestem tego pewien. — Radca uśmiechnął się nieznacznie. Niech pan nie pozwoli opanować się emocjom. W odpowiednim czasie porozmawiamy o niej. Na razie proszę dopilnować, żeby ona i pozostali powypadkowi znaleźli się na swoich zwykłych miejscach. Niech pan wezwie od razu Docchiego do swojego gabinetu. Powinien być przesłuchany na osobności.

Żądanie zdziwiło Camerona i w jego głowie pojawiła się niepewność.

— Zaraz! Jest pan pewien, że chce pan Docchiego? On jest inżynierem, ale...

— Żadnych sprzeciwów, doktorze — powiedział ostro Thorton. — Czekają ważni ludzie. Niech pan nie psuje u nich swojej dobrej opinii. — Telekom pokrył się czernią.

— No, to słyszał pan, doktorze Cameron. — Stojący obok oficer był bardzo uprzejmy. Mógł sobie na to pozwolić, mając na mundurze trzy wielkie planety.

— Słyszałem — odparł z irytacją Cameron. — Nie chcę dyskutować z władzami, ale skoro już jestem odpowiedzialny za to miejsce, to muszę zażądać, by pan zapewnił ochronę tej dziewczynie.

— Pan jest odpowiedzialny? — wycedził oficer. — Bo wie pan, ja mam takie wrażenie, że to ja tutaj dowodzę. Dostałem rozkaz, żeby zastąpić pana aż do odwołania. A takowego nie było. — Rozejrzał się dookoła po swoich ludziach i kiwnął palcem. — Poruczniku, dopilnuje pan, by ten mały facecik, Jordan – tak się chyba nazywa, został dostarczony do głównej kopuły. A tę młodą damę może pan odprowadzić do jej pokoju, czy gdzie tam ona mieszka. I niech się pan zbytnio z nią nie zaprzyjaźnia bez zachęty. — Uśmiechnął się protekcjonalnie do Camerona. — Jest jeszcze coś, co mogę zrobić, ku zadowoleniu kolegi dowódcy?

Cameron spojrział na strażników. Byli wszędzie dookoła, elegancko umundurowani, w gotowości. Nic nie wskazywało na to, żeby ci w pobliżu, słyszący tę rozmowę, byli w jakiś sposób rozbawieni. Byli doskonale zdyscyplinowani.

— To wszystko, generale — odrzekł z kamienną twarzą. — Proszę nie spuszczać jej z oczu. Jest pan za nią odpowiedzialny.

— Jestem — potwierdził uprzejmie oficer, mrugając do porucznika. — Ruszać się.

*

W biurze, na ekranie, z niecierpliwością oczekiwał na Camerona radca medyczny Thorton. Taka postawa pasowała do niego tak dobrze, jak gdyby wypróbował wiele innych i odkrył, że lekko skrywana arogancja jest najodpowiedniejsza dla osobowości zapracowanego wyższego urzędnika.

— Będziemy u was za dwie godziny — oznajmił natychmiast. — Mam tu na myśli kilkoro członków rządu, naukowców i kilku czołowych przemysłowców. Ich czas jest cenny, więc skoncentrujmy się na tym grawitacyjnym interesie. — Spojrzał na dowódcę. — Generale Judd, to będą sprawy techniczne. Nie sądzę, żeby był pan zainteresowany.

— Oczywiście, sir. Postawię na zewnątrz wartowników.

Radca milczał, dopóki drzwi nie zamknęły się za generałem.

— Usiądź, Docchi — powiedział z nieoczekiwaną troską i poczekał, aż ten zajmie miejsce. — Mogę tylko ci współczuć. Wszystko było w zasięgu ręki... a teraz powrót tutaj. No cóż, rozumiem, co czujesz. Ale skoro już tu jesteś, powinniśmy chyba ustalić, co można zrobić dla ciebie.

Docchi spojrział na ekran. Plamka światła pulsująca na jego policzku nagle rozbłysła na całą twarz.

— Pewnie może pan coś zrobić — odpowiedział bez zastanowienia. — Tylko co z oskarżeniami o kradzież? Przecież ukradliśmy statek.

— To formalność — zadeklarował radca z gorliwą prostotą. — Biorąc pod uwagę odkrycie, czy też ponowne odkrycie napędu grawitacyjnego, nikt nie będzie się przejmował przestarzałym statkiem. W jaki sposób miałbyś sprawdzić swoje teorie, jeśli nie w bezpośrednim locie? Nie chciałbym cię

zwodzić — słodkim głosem namawiał radca — ale z medycznego punktu widzenia nie możemy zrobić nic więcej, niż już zrobiliśmy. Niemniej znalazłbyś się w centrum bardziej odpowiedzialnego towarzystwa. Przyjaciele, praca, co tylko zechcesz. W zamian oczekujemy oczywiście współpracy.

— Zaraz, zaraz — powiedział Cameron, podchodząc do ekranu i stając wprost przed nim — pan chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki jest udział Docchiego...

— Niech pan się nie wtrąca. — Thorton spojrzał groźnie na Camerona. — Chcę od razu zawrzeć porozumienie. To robi bardzo dobre wrażenie, jeśli pokażemy tym sławnym ludziom, jak dobrze pracujemy z naszymi pacjentami. Dobrze! Docchi, jak dużo z tego napędu, możesz przygotować na papierze, z nim wylądujemy?

— On nic nie może — podniósł głos Cameron. — Próbowiałem to panu powiedzieć. On nie wie...

— Uważaj — krzyknął Thorton, ale już było za późno.

Kolana Camerona ugięły się, a nogi skurczyły w bólu. Docchi kopnął ponownie. Lekarz upadł. Docchi wycelował jeszcze raz dzikie uderzenie stopą, trafiając Camerona w tył głowy. Krew poszła lekarzowi z ust i znieruchomiał.

— Docchi — zaskrzeczał Thorton, ale odpowiedzi nie było.

Docchi uderzył ciałem w drzwi i znalazł się na zewnątrz. Generał Judd opierał się o ścianę, bezmyślnie rozglądając dookoła. Docchi opuścił głowę i zaszarżował na niego. Miotacz wypadł tamtemu z kabury i upadł na podłogę. Docchi bez namysłu rąbnął w niego nogą i uciekł.

Judd wstał i podniósł broń. Wycelował w sylwetkę uciekającego i byłby nacisnął spust, gdyby nie to, że broń jakoś

inaczej leżała mu w dłoni. Opuścił ją i szybko sprawdził uszkodzony mechanizm. Spocił się, wsuwając ostrożnie broń do kieszeni bluzy.

Z gabinetu Camerona rozległy się stłumione, coraz gwałtowniejsze krzyki. Generał wpadł do środka.

Radca medyczny na ekranie przewiercił go wzrokiem.

— Widzę, że pozwolił pan mu uciec — powiedział.

Sponiewierany oficer obciągnął mundur.

— Przepraszam, sir. Nie sądziłem, że jest w nim tyle życia. Natychmiast podniosę alarm.

— To już nie ma znaczenia. Ocućcie tego człowieka.

Generał nie był zaznajomiony z metodami reanimacji, ocalenie życia nie leżało w jego gestii. Niemniej po kilku minutach Cameron odzyskał przytomność, chociaż był nieco oszłamiony.

— No dobrze, doktorze, jeśli nie Docchi, to kto wie cokolwiek o napędzie grawitacyjnym?

Cameron potrząsnął głową jak pijany.

— Łatwa pomyłka — powiedział. — Napęd zaczął działać sam, bez naszego udziału. Jak, dlaczego, kto to zrobił? Przede wszystkim kto? Ja odpadam, jestem lekarzem, nie fizykiem. Jordan, w najlepszym przypadku to zwykły mechanik. Pozostaje Docchi, bo jest inżynierem — urwał, by obetrzeć sobie krew z policzków.

— Na litość boską, niech pan powie — powiedział Thornton. — Przecież nie...

— Nie — oznajmił Cameron z cichą satysfakcją. — Anti też nie. Pozostaje jedna osoba. Mała, głucha i niedorozwinięta debilka, którą psychologowie nawet nie zawracali sobie głowy.

— Nona? — zapytał Thornton z niedowierzaniem.

— Przecież mówię — powiedział Cameron i zaczął opowiadać dalej, ze szczegółami.

— Rozumiem. Przegapiliśmy tę możliwość — stwierdził radca ponuro. — Żaden geniusz inżynierii. Zamiast tego dziwny telepatyczny zmysł dziewczyny. To stawia całą sprawę w innym świetle.

— Niemniej to wcale nie jest takie trudne — oznajmił Cameron, pocierając guz z tyłu głowy. Włosy miał potargane, pozlepiane krwią. — Nie powie nam, jak to zrobiła. Będziemy musieli znaleźć to eksperymentalnie, ale nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa. System monitorujący może zawsze kontrolować napęd.

Radca zaśmiał się, trzęsąc i kołysząc w fotelu.

— System monitorujący jest wart tyle co nic. Próbowaliśmy już go użyć. Przez jakąś mikrosekundę wydawało się, że przejmuje kontrolę, tak jak to zawsze się działo na innych jednostkach, a potem generator grawitacji wyślizgiwał się. Doszliśmy do wniosku, że Docchi znalazł sposób na odblokowanie obwodów sterowania.

— Ale to nie Docchi przekazał komputerowi, jak to zrobić.

— Myśląc, że to Docchi, doszliśmy do pewnych wniosków — warknął radca zmęczonym głosem. — Docchi był tu najbardziej sensowny i tyle. Normalny człowiek mógł zrobić tylko jedną rozsądną rzecz – wrócić i zdyskontować swoje odkrycie. — Potrząsnął głową z odrazą. — Ale czemu ona wróciła, tego zupełnie nie rozumiem.

— A nie sądzi pan...? — zaczął Cameron i ugryzł się w język.

— O Boże, jasne, że tak — radca medyczny uderzył pięścią w blat. — I Docchi to wie. Dowiedział się tego tutaj, w tym pomieszczeniu, a my mu to powiedzieliśmy. Gdy tylko to zrozumiał, uciekł.

Na twarzy Thortona pojawiła się panika i niemal natychmiast ustąpiła, stłumiona przez długi nawyk szybkiego podejmowania decyzji. — Mogła zabrać statek, gdziekolwiek by zechciała, a my nie moglibyśmy jej powstrzymać. Skoro przybyła tutaj dobrowolnie, jest oczywiste, czego pragnie – asteroidy.

Radca próbował odepchnąć się od ekranu.

— Czy pan w ogóle myśli, generale? Między generatorami grawitacji nie ma żadnej istotnej różnicy z wyjątkiem ich rozmiaru i mocy. To, co zrobiła na statku, może z łatwością zrobić i tutaj.

— Bez obaw — odpowiedział zdumiony oficer. — Złapię ją. Znajdę tę dziewczynę, a także Docchiego.

— Nim niech się pan nie przejmuj — dławiał się radca. — Nieważne, jak pan to zrobi. Niech pan natychmiast schwyta tę Nonę, bez zwłoki.

Czas na to już wszelako minął. Wielka kopuła nad ich głowami zatrzęsała się i zazgrzytała w swoich licznych wiązaniach. Jej konstrukcja poddana nieprzewidzianym naprężeniom jednak wytrzymała. Mały świat zadrżał i z jękiem poskarżył się na miejsce, w którym przebywał zbyt długo. Wszystko się zmieniało – asteroida opuszczała swoją dotychczasową orbitę.

7

Wokół mrowiły się osobliwe sylwetki. Jeśli mogły, to szły, jeśli nie, czołgały się – fantastyczne albo niemal fantastyczne stworzenia podążały na zebranie. Wielkie i małe, bez twarzy czy rąk albo z nimi, przybywały na własnych albo użyczonych nogach. Wieści rozchodziły się szybko, głosem czy w wiadomościach tekstowych, językiem migowym, czytane z warg, wszystkimi możliwymi do pomyślenia sposobami komunikacji między ludźmi, nie wyłączając mętnawej intuicji. Przekazywały, że dzieje się coś, o czym każdy powinien wiedzieć. Mieszkańcy „Nieba Niepełnosprawnych” wyczuwali nadzwyczajne wydarzenia.

— Pamiętajcie, że miną godziny albo i dni, zanim będziemy bezpieczni — powiedział Docchi. Głos miał ochrypły, czego sam nawet nie zauważył. — Od nas zależy, czy Nona dostanie tyle czasu, ile potrzebuje.

— Gdzie ona się ukryła? — zapytał ktoś z tłumu.

— Nie wiem. Ale nawet, gdybym wiedział, to i tak bym nie powiedział. Mogliby to wydusić z ciebie. Teraz naszym jedynym zadaniem jest powstrzymać ich od znalezienia jej.

— Jak? — zapytał ktoś inny znajdujący się bliżej z przodu. — Liczysz na to, że będziemy walczyć z żołnierzami?

— Nie bezpośrednio — powiedział Docchi. — Nie mamy broni, nie jesteśmy uzbrojeni. Wielu z nas jest bezbronnych w innym sensie. Jedyne, co możemy zrobić, to przeszkadzać im w poszukiwaniach. Dopóki ktoś nie wymyśli czegoś lepszego, mój plan jest taki:

Potrzebuję wszystkich mężczyzn, starsze kobiety i te młodsze nie nadające się z powodów, które wyjaśnię później. Żołnierze nie pojawią się tutaj jeszcze przez około pół godziny. Tyle czasu zajmie im zebranie się i wydanie rozkazów. Gdy tu dotrą, ta grupa zacznie przeszkadzać w poszukiwaniach w każdy możliwy sposób.

Jak to zrobicie, pozostawiam waszej wyobraźni. Wzbudzajcie ich współczucie tak długo, jak długo będą to okazywać. Wystawiajcie się na niebezpieczne sytuacje. Oni są etyczni i z początku będą skłonni wam pomagać. Gdy to zrobią, starajcie się ukraść im broń. Unikajcie fizycznego gwałtu tak długo, jak to możliwe. Nie chcemy prowokować ich do odwetu, będą w tym mieli przewagę. Starajcie się dopasować do ich zachowania. To nie potrwa długo.

Docchi przerwał i popatrzył na tłum.

— Każdy z was będzie musiał podjąć osobistą decyzję, kiedy skończyć z biernym oporem i rozpocząć rzeczywistą walkę. I tu, tak samo, możecie wymyślić więcej, niż ja wam powiem, ale mam kilka sugestii. Próbuje psuć oświetlenie, system kamer i wentylację. Będą musieli je ciągle reperować.

Być może nawet postawią warty w newralgicznych punktach. Czym więcej, tym lepiej dla nas – będą mieli mniej żołnierzy do dyspozycji.

— A co ze mną? — zawołała kobieta znajdująca się daleko z tyłu. — Co ja mam robić?

— Jesteś potrzebna na ciężkie czasy — obiecał Docchi. — Jest tutaj Jeriann?

Jeriann przepchnęła się do niego przez tłum. Docchi spojrział na nią. Widział ją wiele razy, ale nigdy z tak bliska. Trudno było uwierzyć, że powinna być tutaj wraz z całą resztą.

— Jeriann — zwrócił się do tłumu — jest na pozór normalną piękną kobietą. W rzeczywistości nie posiada nawet śladu układu trawiennego. Bez absorpcji pożywienia i płynów nie jest w stanie wytrzymać dłużej niż dziesięć godzin. Dlatego jest tu z nami, a nie na Ziemi.

Docchi rozejrzał się po zgromadzonych.

— Oczekuję cudu — powiedział. — Potrzebny jest do tego technik kosmetyczny, który potrafi go dokonać? Niech się zgłosi ze swoim zestawem.

Do przodu wysunęła się beznoga kobieta. Docchi dość długo konferował z nią na boku. Kobieta z początku wyglądała na zaskoczoną i niechętną, ale po perswazji zgodziła się. W jej zręcznych rękach Jeriann zmieniła się. Gdy odwróciła się i ponownie stanęła twarzą do tłumu, nie była już sobą, tylko Noną.

— W tym przebraniu będzie mogła im uciekać dłużej i w ten sposób będzie pierwszą Noną, jaką znajdą — wyjaśnił Docchi. — Sądzę... mam nadzieję... że po jej schwytaniu, odwołają poszukiwania na kilka godzin. W końcu zorientują się, że to nie jest Nona i nie zmuszą jej do wyłączenia napędu. Odciski

palców czy prześwietlenia dowiodłyby tego od razu, ale będą tacy pewni swego, że nie przyjdzie im to do głowy. Nony, jak wiecie, nie można przesłuchać, a Jeriann będzie ją naśladowała najlepiej, jak potrafi.

Gdy tylko odkryją, że dziewczyna, którą schwytali, to Jeriann, przestaną być uprzejmi. Żołnierzom spodoba się pomysł wynajdywania ładnych dziewczyn, które będą mogli obmacywać w ramach obowiązków służbowych, zwłaszcza jeśli będą myśleli, że to pomoże w poszukiwaniach Nony. To nic im nie da, ale sądzą, że zabiorą się do tego z entuzjazmem i że to samo w sobie opóźni działania.

Nikt się nie poruszył. Kobiety w tłumie zamarły, spoglądając po sobie z niepokojem. Jordan skrzywił się, odwrócił i wrzasnął ponurym tonem: — Do roboty.

— Czekajcie — zawołał Docchi. — Mam już jedną Nonę, ale potrzebuję więcej ochotniczek, przynajmniej pięćdziesiąt. Nie ma znaczenia, czy jesteście fizycznie normalni, czy nie, włamiemy się do laboratorium po sztuczne tkanki. Jeśli jesteście w przybliżeniu tego samego wzrostu, możecie chodzić i macie przynajmniej jedną rękę, zgłóście się.

Powoli, pojedynczo albo dwójkami czy trójkami kobiety zgłaszały się na podest. Niewiele z nich mogło się obejść bez większej charakteryzacji. W nich przede wszystkim pokładano nadzieje.

Pozostali ruszyli za Jordanem, oglądając się na jakiś znak od Docchiego. Gdy nie zareagował, pośpieszyli z determinacją. Mógł na nich polegać. Całkowita suma ich pomysłowości powinna dać jakieś rezultaty.



Masowa produkcja tej samej osoby. Niedoskonałej w każdym znaczeniu, ale wystarczającej w większości przypadków. Docchi przyglądał się krytycznie, sugerując czasami jakieś poprawki zwiększające podobieństwo.

— Ona nie mówi i nie słyszy — przypominał ochotniczkom. — Pamiętajcie zawsze, że nie ma znaczenia, co oni robią. Nie wołajcie o pomoc, i tak nic nie możemy zrobić. Ukrywajcie

się w trudno dostępnych miejscach. Gdy schwytają Jeriann, odwołają poszukiwania, a potem je wznowią, pozwalając im łapać się pojedynczo, co jakiś czas. Nie będziemy mogli komunikować się z wami, więc będziecie musiały same zdecydować, czy to jest wasza kolej. Powinnyście się orientować po większej aktywności poszukujących. To będzie znaczyło, że już odkryli, iż ostatnia schwytana osoba nie jest Noną. Każdy żołnierz, który będzie musiał eskortować was na przesłuchanie, to jeden mniej do prowadzenia poszukiwań dziewczyny, o którą naprawdę im chodzi. Muszą wkrótce znaleźć Nonę... albo opuścić asteroidę.

Kosmetycy byli zapracowani i nie przerywali pracy. Ale znalazła się jedna, która spojrzała na niego.

— Odlecieć? — zapytała. — Dlaczego?

Docchi sądził, że wszystkim już to powiedział. Ale ona musiała chyba przyjść później. Z pełną satysfakcją powtórzył więc to jeszcze raz.

— Bo „Niebo Niepełnosprawnych” opuszcza Układ Słoneczny.

Jej palce biegały, kształtując uroczą krzywiznę szczęki tam, gdzie jej nie było. Potem zostały zaaplikowane policzki, w których było więcej życia niż w czymkolwiek wykreowanym kiedykolwiek przez tę kobietę.

Krótko potem Nona ukrywała się w pięćdziesięciu różnych miejscach.

I w jeszcze jednym.

*

Orbita Neptuna została daleko z tyłu, a asteroida wciąż przyśpieszała. Dwa gigantyczne generatory grawitacji ciągnęły

skorupę i jądro asteroidy. Trzeci obejmował niezwykle silnym polem grawitacyjnym część tego wyizolowanego świata. Przedłużający się wysiłek był uciążliwy i podwójnie wyczerpujący. Żołnierze nie byli i nie mogli być bardzo aktywni. Godziny przeradzały się w dni, a dni mijały. Generatory nigdy się nie wyłączały. Wyglądało na to, że nigdy się to nie skończy.

— Wyliczyliście to dokładnie? Pan wie, że to pan jest za to wszystko odpowiedzialny — stwierdził z ironią Docchi. — Razem z nami zwiększacie też swoją prędkość względem Słońca. Potem będziecie musieli ją zredukować, zanim ruszycie w kierunku Ziemi. Jeśli będziecie zwlekać zbyt długo, nigdy nie zdołacie powrócić.

Generał wydawał się ignorować jego słowa, ale szczeka mu zadrzała.

— Gdyby tylko udało nam się wyłączyć ten przeklęty napęd.

— To właśnie staramy się zrobić — powiedział Vogel uspakajającym tonem.

— Wiem. Ale gdybyśmy mogli to zrobić, nie szukając jej. Miejscowy technik wzruszył niemrawo ramionami.

— Proszę bardzo, może pan spróbować. Ale nie chciałbym być w pobliżu, gdy pan będzie to robił. Wiem, to wygląda prosto, jedynie dwa generatory grawitacyjne. Ale proszę pamiętać, że bierze w tym również udział spory generator jądrowy.

— Wiem, wiem — mruknął generał z przygnębieniem. — Przeklęte atomy, nic nie warte wynalazki. Nic z nimi nie można zrobić, zawsze zbyt wrażliwe. — Spojrzał groźnie w ciemność nad głową. — Z drugiej strony, możemy wystartować i rozwalić tę skałę z bezpiecznej odległości.

— I stracić nadzieję na znalezienie jej? — zadrwił Docchi.

— Tak czy tak, już ją straciliśmy — stwierdził kwaśno Vogel.

— Niech pan spojrzy na to z innej perspektywy. Wcale nie jest tak źle, jak się wydaje — stwierdził Docchi. — Teraz, gdy już wiecie, gdzie leży problem, zawsze możecie zbudować inny komputer i tym razem wyposażyć go w dodatkowe zmysły. A może dostarczyć mu podstawowe wiadomości z astronomii.

— Czemu mi to nie przyszło do głowy? — zapytał Vogel, zdegustowany. — Jestem panu jeszcze tutaj potrzebny, generale? Jeśli nie, to chciałbym wrócić na mój statek.

Generał mruknął przyzwalająco i technik wyszedł, zmagając się z potężną grawitacją.

— Jest jeszcze jedna możliwość, chociaż może nie trafi panu do przekonania — zaczął ostrożnie Docchi. — Nie wydaje mi się, żeby Nona była całkowitym wyjątkiem. Muszą być też jacyś inni, do niej podobni, tak zwani „urodzeni mechanicy”, u których rozumienie maszynerii jest formą inteligencji, o jakiej nie pomyśleliśmy. Jeśli dobrze poszukać, to może się tacy znajdą, być może w najbardziej nieprawdopodobnych i paskudnych ciałach. — Nie dał tego po sobie poznać, ale w duchu się zaśmiewał. Nękał ich w ten sposób bardzo skutecznie. Nadzieja jest czasem czynnikiem najbardziej demoralizującym.

— Gdybym sądził, że wiesz, gdzie ona jest... — warknął ze zmęczeniem generał Judd.

Docchi zeszywniał, świecąc mimowolnie.

— Niech pan nie dramatyzuje, generale — powiedział z niesmakiem Cameron. — Opór byśmy mieli w każdym przy-

padku. On jest jedynie odpowiedzialny za jego efektywność. To oczywiście, co on próbuje zrobić w tej chwili — kontynuował, mocno marszcząc brwi — ale naszego morale już dalej psuć nie trzeba, już się całkiem załamało. I nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby pomóc.

Cameron żałował, że radca medyczny nie zdołał wylądować; brakowało mu dalszych instrukcji. Jego własna rola była niejasna i wciąż się zastanawiał... czy nie powinien dać sobie z tym wszystkim spokój. Jasne, że statek z radcą na pokładzie nie mógł wylądować na asteroidzie — leciało nim zbyt wielu ważnych ludzi, którzy nie mogli ryzykować, że zostaną zabrani poza układ planetarny. Niemniej radca mógłby jednak poświęcić kilka minut na przedyskutowanie sytuacji. Wiedział lepiej, co zrobić.

Słońce stało wysoko, w centrum kopuły. Słońce? Bardziej przypominało teraz jasną gwiazdę. Nie rzucało cieni; wszystkie pochodziły od oświetlenia kopuły. Teraz zamrugały i znów zgasły. Psuły się z monotonną regularnością. Generał za każdym razem kłął bez emocji tak długo, dopóki ich nie zreperowano.

Niedbale salutując, zbliżył się jakiś żołnierz. Przed sobą prowadził czujnie strzeżonego więźnia.

— Chyba ją znalazłem, sir — zameldował.

— Nie sądzę — powiedział Cameron, spoglądając na dziewczynę. — I wydaje mi się, że niepotrzebnie był pan taki brutalny.

— Takie były rozkazy, sir — żołnierz uśmiechnął się z przymusem i powściąganym zuchwalstwem.

— Czyje rozkazy?

— Pańskie, sir. Powiedział pan, że ona nie może mówić ani wydawać jakichkolwiek dźwięków. To był najprostszy sposób, żeby się upewnić. Nie odezwała się.

Cameron odwrócił się do generała, ale zdał sobie sprawę z tego, że nie znajdzie tam poparcia. Judd spojrział ponuro, zupełnie obojętny na zachowanie żołnierza.

Lekarz wy dobył ostry skalpel i wbił go głęboko w udo dziewczyny. Spojrzała na niego ze łzami w oczach, ale nie protestowała i nie drgnął jej żaden mięsień.

— Tkanka z plastiku, co może jasno stwierdzić każdy dureń — oznajmił oschle. Jego gniew narastał.

Żołnierz stał, zaciskając wargi.

— Puść ją — polecił lekarz.

Dziewczyna rzuciła się do ucieczki. Żołnierz zasalutował sztywno i odszedł, ocierając ręce o mundur. Będzie szedł i pocierał ręce, bo ją dotknął, pomyślał ze znużeniem Cameron.

— Mam prośbę — powiedział Docchi.

— Jasne, jasne — rzekł generał cholerycznym tonem. — Jesteśmy tu po to, żeby zaspokajać wasze potrzeby, dawać, co tylko zechcecie. Jeśli czegoś nie macie, to proście. Poślemy po to i dostaniecie.

— To akurat może pan zrobić. — Docchi otwarcie się roześmiał. — Odleciecie już niedługo, bez Nony. Odlatując, nie zabierajcie wszystkich statków. Nie są wam potrzebne, a nam się przydadzą, gdy dolecimy do innego układu.

Generał próbował odpowiedzieć, ale ze złości nie mógł wykrztusić słowa.

— Niech pan nie mówi niczego, czego będzie pan później żałował — ostrzegł go Docchi. — Gdy pan powróci, to co pan

napisze w raporcie? Przekáže pan swoim przełożonym, że pozostawił wszystko w doskonałym porządku, mimo że wciąż pozostawał czas na kontynuację poszukiwań? Może bardziej spodoba im się to, że został pan tutaj do ostatniej minuty – tak długo, że musiał pan przenieść swoich ludzi i porzucić niektóre statki? Proszę to przemyśleć. Mam na sercu wyłącznie pański interes.

Generał z trudnością przełknął ślinę, twarz mu poczerwieniała, a następnie stała się całkiem biała. Odwrócił się i odszedł bez słowa. Cameron popatrzył za odchodzącym oficerem i chwilę później ruszył za nim. Szedł jednak wolniej i wkrótce dystans między nimi się powiększył. Docchi zaczął się odprężać na myśl o bliskim zwycięstwie i nie zwrócił uwagi, gdzie który z nich poszedł.

*

Ostatnia z rakiet zniknęła, pozostawiając za sobą ślad, który wkrótce rozplynął się w przytłaczającej ciemności. Słońce było teraz jedną spośród wielu jasnych gwiazd, czasami trudną do zidentyfikowania. Sama asteroida wydawała się subtelnie zmieniać, zrobiła się luźniejsza i nie tak obskurna – powodów czego nie było trudno się domyślić. Stała się miniaturowym światem, niewielkim systemem, całkowicie samowystarczalnym.

— Myślę, że uda nam się przeżyć — powiedział Docchi. — Mamy energię i potrafimy uzupełniać tlen. Będziemy musieli hodować lub syntetyzować żywność, a tak się składa, że to miejsce zostało od początku do tego przystosowane. Dużo pracy będzie kosztowało doprowadzenie wszystkiego do porządku, ale zawsze chcieliśmy wykonywać coś więcej niż tylko czynności bez znaczenia.

Siedzieli na brzegu zbiornika, który wrócił na swoje zwykłe miejsce. Drzewa szeleściły poruszane sztuczną bryzą, trawa dookoła była potargana i zdeptana przez żołnierzy. Po okresie przemocy, jaka się tu ostatnio rozpanoszyła, obecnie wydawało się być znacznie spokojniej. Tamto się skończyło i już nigdy nie wróci.

— Musimy znaleźć sposób, żeby uwolnić Anti od tego zbiornika — powiedział Jordan, kołysząc się wśród drzew. — Gdy Nona wróci, może uda się zmajstrować jakiś obszar zerowej grawitacji, coś, co pozwoli jej poczuć się wygodniej. Oczywiście powinniśmy też kontynuować tę krioterapię.

— Mogę poczekać — powiedziała Anti. — Już i tak długo czekałam.

Docchi rozejrzał się dookoła; oczy podążały mu za myślami, które błędziły i poszukiwały.

— Teraz już nie musimy się martwić — stwierdziła Anti. — Żołnierze byli brutalni wobec kobiet, ale tkanki z plastiku nie czują bólu, więc wyszły z tego z mniejszymi obrażeniami, niż mogłoby się wydawać. A co do Nony, no cóż, ona potrafi zadbać nie tylko o siebie, ale o nas wszystkich.

To było niemal prawdą; Nona wydawała się delikatna, eteryczna nawet, ale taką nie była. A jej świadomość zaczynała się tam, gdzie u normalnych ludzi się kończyła. Natomiast, gdzie kończyła się jej percepcja, tego nikt nie wiedział, włącznie z nią. Tu leżało źródło problemu.

— Myślę, że powinniśmy zacząć jej szukać — powiedział Docchi. — W ostatniej chwili, w zdenerwowaniu podczas odlotu i nie wiedząc ani nie dbając z kim ma do czynienia, jakiś żołnierz mógł... — potworność tej myśli nie pozwoliła mu skończyć.

— Nie słyszycie — powiedziała Anti. — Czy można mieć jakieś wątpliwości, dopóki generatory działają?

Wibracja gruntu była raczej wyczuwalna niż słyszalna.

Docchi był pełen wątpliwości. Nona uruchomiła generatory, a skoro raz zostały już uruchomione, a komputer otrzymał podstawowe dane na temat natury wszechświata, to nie było powodu, by przypuszczać, że nie będzie działał już zawsze. Istniał po to, by wykonywać takie zadania. I jak na razie nie posiadał wolnej woli, a to się stosowało również do zatrzymania.

— Chyba jednak potrafię was przekonać — powiedział Jordan. — Ale musicie się odwrócić.

Po krótkiej gimnastyce Docchi wstał. Nona szła ku nim, świeża i wypoczęta. Na policzku miała plamę, ale mogła po drodze ubrudzić się od jakiejś maszyny, przy której się zatrzymała, by ją obejrzeć. Jej ciekawość nie miała granic i mało było rzeczy na tyle nieznaczących, żeby uniknąć jej uwagi.

— Gdzie byłaś? — zapytał Docchi, nie oczekując odpowiedzi. Nona uśmiechnęła się i przez chwilę myślał, że zrozumiała pytanie. Poczł ulgę, widząc ją bezpieczną i nic więcej. W jego reakcji brakowało czegoś, czego po sobie oczekiwał, ale czego – nie wiedział. Kiedyś to czuł, a teraz już nie. Być może był to efekt świeżej wolności, którą uzyskali.

Jordan spojrzał na niego z zaciekawieniem, prawie przenikając zasłonę, którą okrył swój brak emocji.

— Nie jest wcale tak źle, jak myślisz. Ona niektóre rzeczy rozumie. Maszyny.

Docchi nie był maszyną. Nie był nawet w pełni człowiekiem. Pewnie w tym tkwiła różnica.

— Ona jest urodzonym technikiem, takim jakiego jeszcze nigdy nie było — powiedział. — Jest teraz czas, w którym taki ktoś pojawił się w rasie ludzkiej. Pracowaliśmy z maszynami wystarczająco długo, żeby mógł wyewoluować ktoś, kto je rozumie bez studiowania i uczenia się czegokolwiek. Mnie się to też tyczy. Trochę, nic z tego, co u niej.

Wszyscy to wiedzieli. Nawet na Ziemi prawdopodobnie rewidowano teraz pilnie reguły klasyfikacji inteligencji.

— To nie zmienia problemu, jej problemu. — Jordan zawahał się. — Idea jest dość mętna, ale zrobiliśmy jakiś postęp: wiemy, że ona potrafi myśleć.

— Zawsze to wiedzieliśmy — powiedziała Anti.

— Jasne, że wiedzieliśmy. Ale lekarze i psychologowie nie byli przekonani, a to oni ją badali. Teraz to spadło na nas.

To robiło różnicę. Nieważne, co sobie myśleli, przedtem byli pacjentami i było aksjomatyczne, że pomysły pacjentów są generalnie ignorowane. Obecnie wkraczali w podwójną rolę, pacjentów i lekarzy, przedmiotu badań i eksperymentatora, oka przy mikroskopie i obiektu na szkiełku.

Wszyscy mieli medyczne doświadczenie z drugiej ręki. Przy długotrwałych kontaktach otarli się o wszystko. Nie było tu nikogo, kto by nie znał swojego ciała lepiej niż ktokolwiek inny. Ta wiedza, chociaż subiektywna, mogła być zebrana razem. Szczęśliwie mieli do pracy dobrze wyposażony szpital.

— Musimy intensywnie zająć się Noną — kontynuował Jordan. — Dokąd lecimy? Ona to wie, a my nie. Musi być jakiś sposób sprawdzenia tego.

Dotychczas nie miało to znaczenia – wystarczało im, że odlatują. Ale gdy tylko to osiągnęli, zewsząd pojawiły się nowe problemy.

— Co sugerujesz? — zapytał Docchi.

— Oscylograf — powiedział triumfalnie Jordan.

— Nie nada się. — Docchi potrząsnął głową. — Kręciła się blisko niego na tyle często, że gdyby naprawdę coś poczuła, okazałaby zainteresowanie.

— Może mogłaby się nauczyć pisać na ekranie.

— Nic się nie zmieniła i nie sądzę, żeby zmieniły się jej zainteresowania. Z tego, co wiemy, ona nie używa słów; myśli wprost technicznymi pojęciami. Komputer grawitacyjny okazał się pierwszą rzeczą na tyle złożoną, że to wzbudziło jej zainteresowanie.

— Przecież zawsze był w jej pobliżu.

— To nie tak. Przywieziono ją tutaj wiele lat temu i chociaż na tamtym statku znajdował się komputer, nie była na tyle dojrzała, żeby go zauważyć. A potem trzymano ją z daleka od głównych komputerów, tak samo, zresztą, jak nas wszystkich.

Jordan podparł się rękami i zakołysał, zastanawiając się.

— I ona się nauczyła tego wszystkiego w ciągu tych kilku godzin na statku? — zapytał.

— To były dni — powiedział Docchi. — Tak, nauczyła się. To była jedyna okazja, jaką miała.

Język, który opanowała, to nie jest zwykły język, to skomplikowany kod używany wewnątrz komputera, stop, start, prąd i nie ma prądu; strumień elektronów; mechaniczna pamięć jak magnetyczna huśtawka – i cały czas szept stalowej taśmy zwijanej i rozwijanej. Było to możliwe dlatego, że tylko komputer jest zdolny do zrozumienia dziewczyny. A przecież ona jest stworzeniem z ciała, kości, gruczołów, nerwów i krwi

płynącej w żyłach w odpowiedzi na nieuchwytnie żądania ciała.

Anti zakreśliła się niespokojnie. Fale kwasu przelały się przez brzegi, a tam gdzie prysnął płyn, trawa zwinęła się i szcerniała.

— Powiedziałam, że poczekam, ale nie mówiłam, że lubię czekać. Czemu wy dwaj nie weźmiecie się do roboty?

— Racja — powiedział Docchi. — Wydaje mi się, że poradzimy sobie lepiej niż normalni. Jako powypadkowi nie przestaniemy eksperymentować, dopóki nam się nie uda. A mamy na to setki lat.

Rozświetlony, dosłownie, radością Docchi schylił się, żeby Jordan mógł się wspiąć mu na plecy. Potem pocałował Nonę i skierował się do laboratorium.

Nona uśmiechnęła się i poszła za nimi.

— Są rzeczy, które można wyrazić bez potrzeby posilkowania się słowami czy jakimiś urządzeniami — zawołała Anti. — Zapamiętajcie to sobie.

Z zadowoleniem zanurzyła się w kwasowej kąpieli. Nad kopułą jasno świeciły gwiazdy na powitanie małego świata mknącego przez międzygwiazdną przestrzeń.

KONIEC

